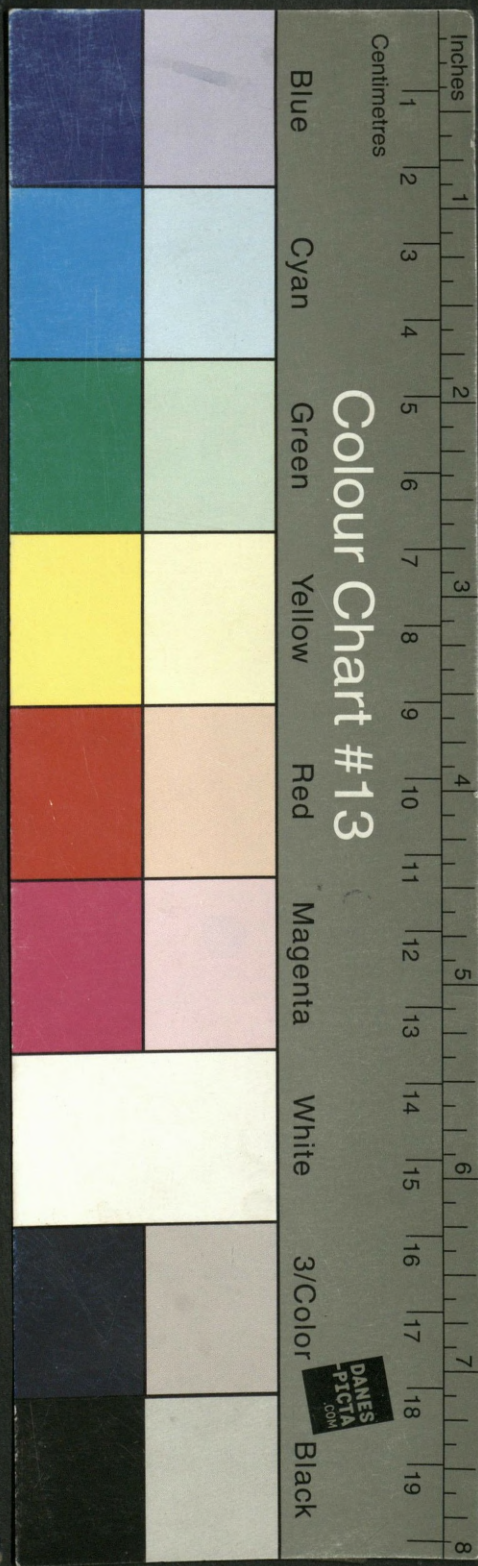
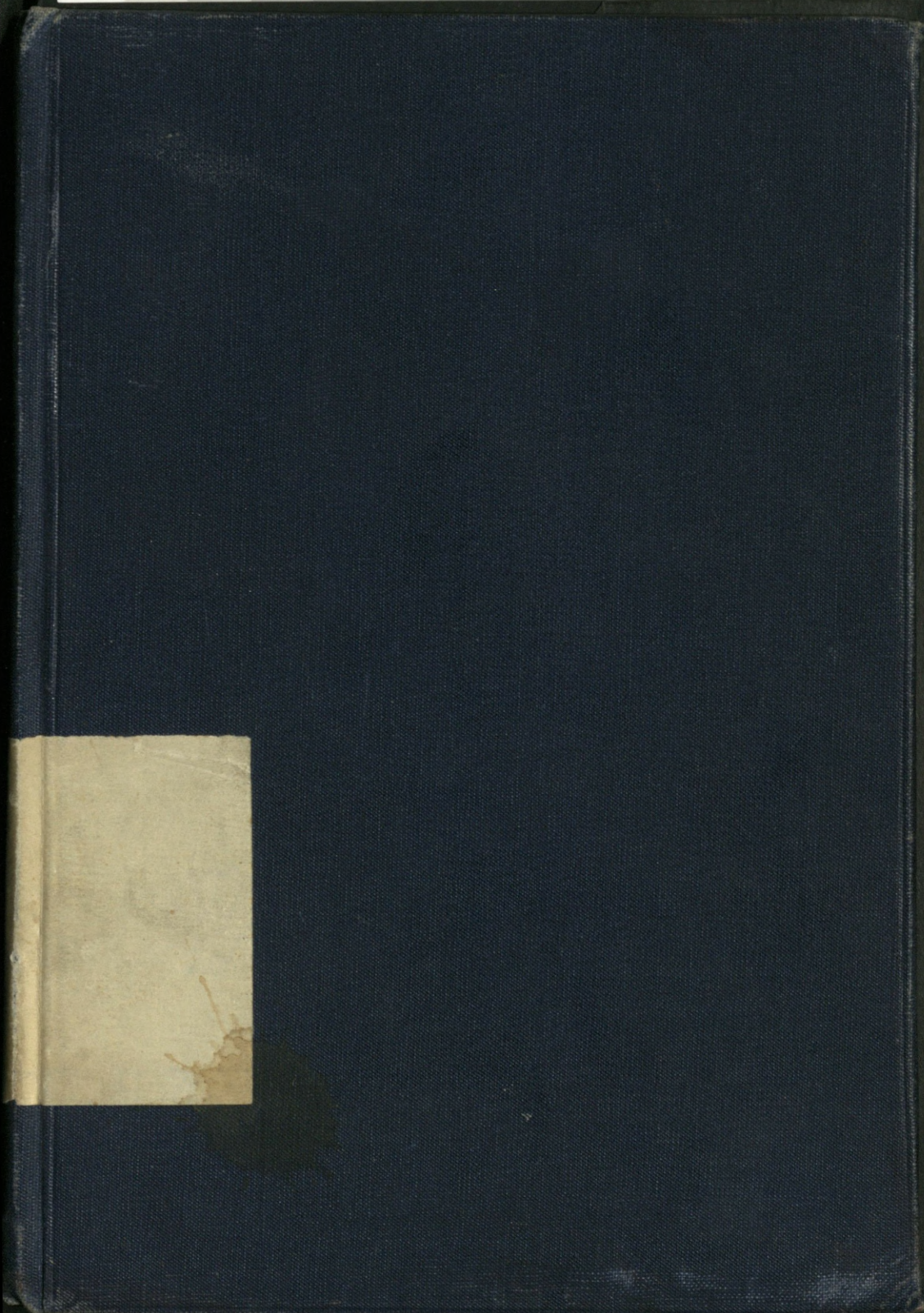


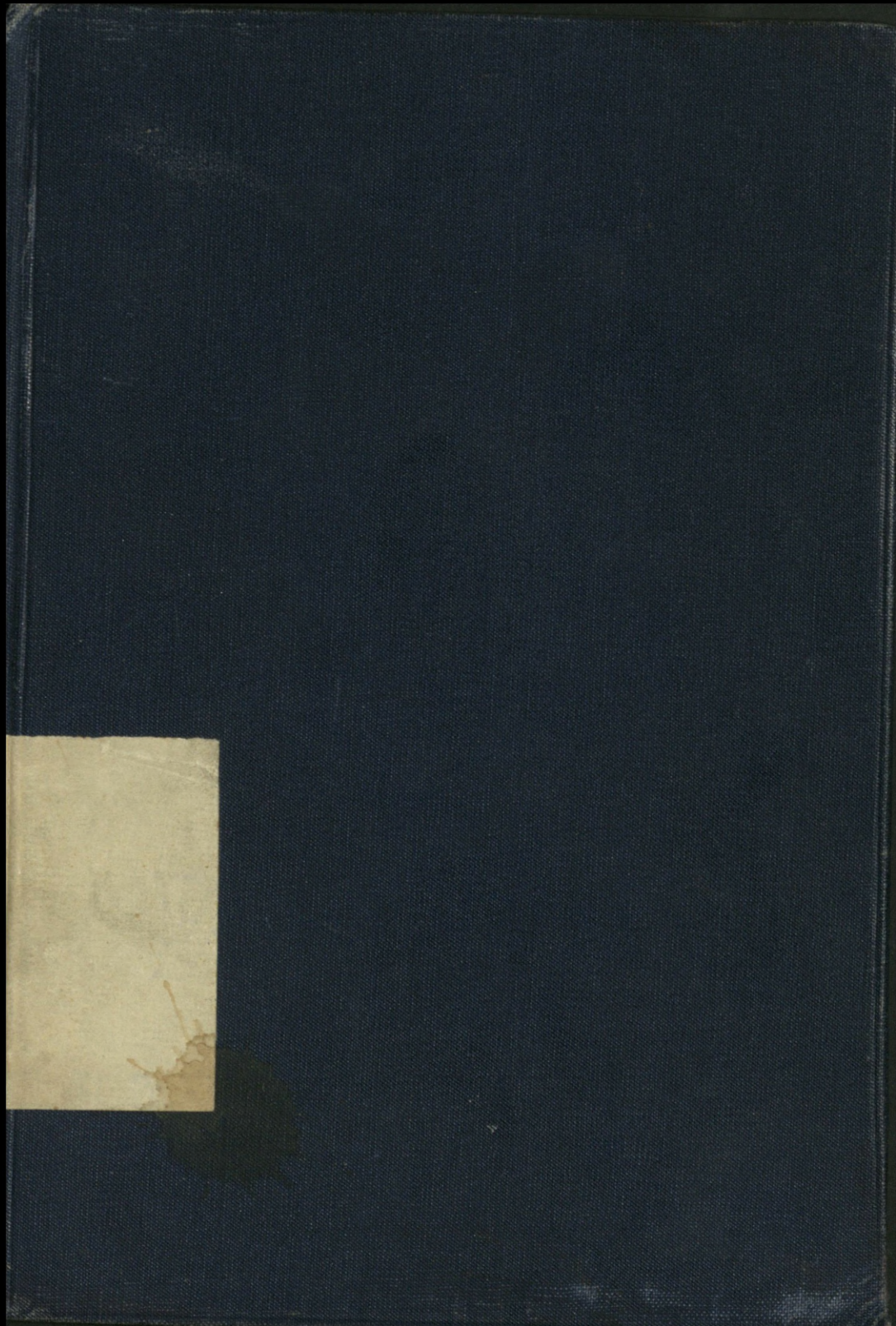
Grey Scale #13



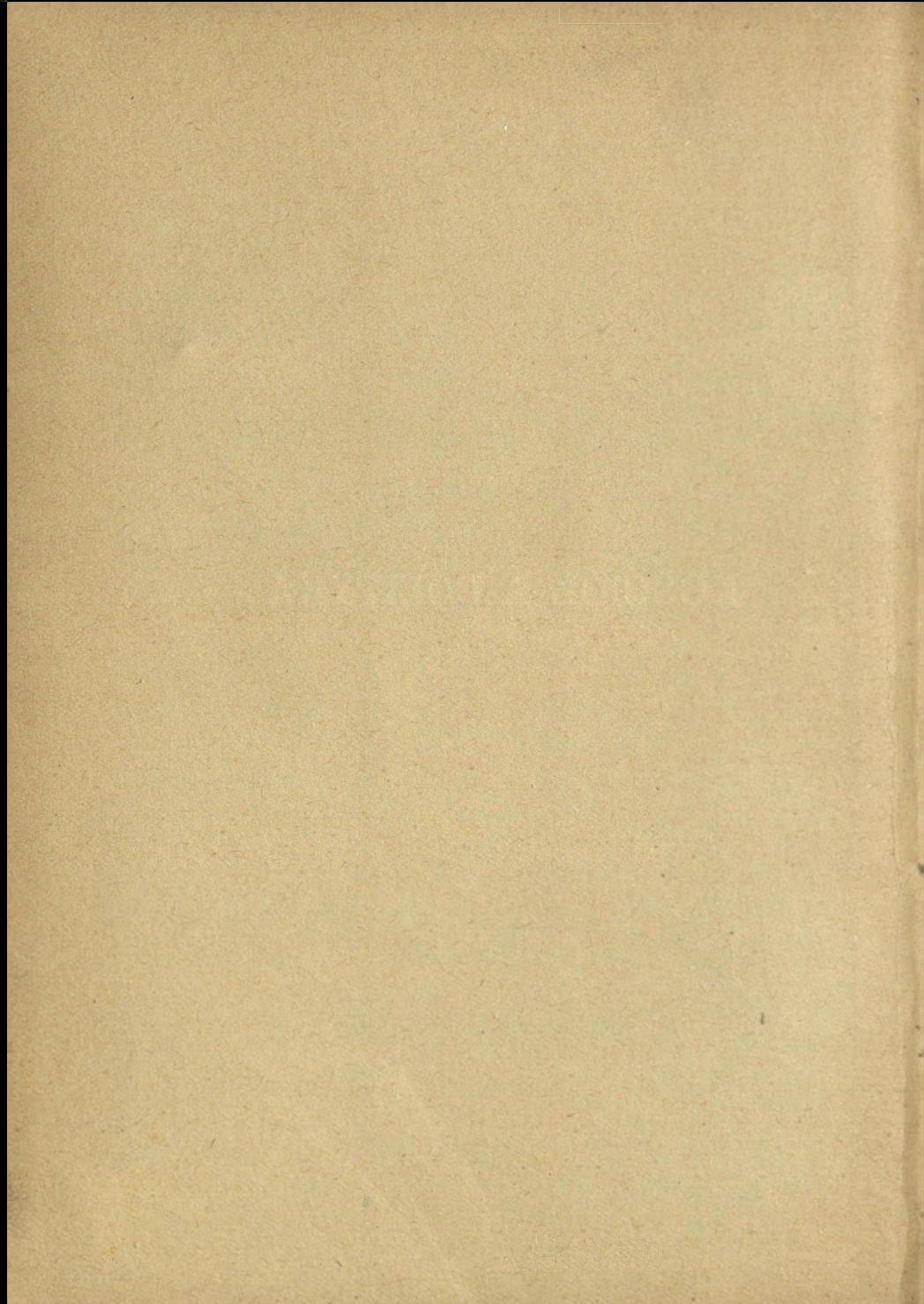
DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





KOŚCIÓŁ A POLITYKA

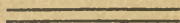


PROF. DR. LEOPOLD KOPLER.

KOŚCIÓŁ A POLITYKA

SPOLSZCZYŁ

X. JAN KORZONKIEWICZ.

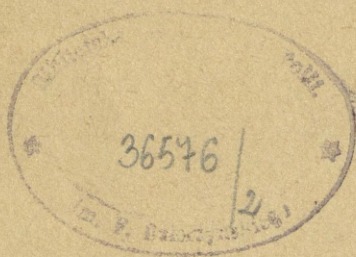


1929

KSIEGARNIA KRAKOWSKA

W KRAKOWIE, UL. ŚW. KRZYŻA 13.

322



DO CZYTELNIKA.

Od wydawców. — W roku 1928 w „Kwartalniku teologiczno-praktycznym“ X. Dr Leopold Kopler, profesor teologii dogmatycznej w Seminarjum duchownem w Linzu i redaktor tegoż kwartalnika, ogłosił szereg artykułów pod wspólnym tytułem „Religia a polityka“, które powszechną zwróciły na siebie uwagę. Autor po złożeniu artykułów cały ich skład oddał do dyspozycji „Katolickiemu Związ-kowi ludowemu w Austrii Górnej“, który jest polityczną organizacją katolików tego kraju, założoną w roku 1870 za wielkiego Sługi Bożego, biskupa Rudigiera. Ponieważ rozprawa ta odznacza się wielką jasnością i ścisłą logicz-nością, przeto Katolicki Związek ludowy, żeby ją uprzy-stępnić szerszemu kołu czytelników, postanowił wydać ją w osobnej odbitce, która oby znalazła jak największą liczbę czytelników i przyczyniła się do wyjaśnienia aktual-nego zagadnienia stosunku religii do polityki.

Od t ł ó m a c z a. — X. Prof. Koplera do napisania rozprawy p. t. „Religia a polityka“ nakłoniła następująca okoliczność. Kiedy austriackie wybory do parlamentu w roku 1927 przyniosły wielkie zwycięstwo żywiołom le-wicowym, pewne sfery katolickie opanował nastrój wy-raźnie defetystyczny. Znalazł on wyraz między innemi także na łamach wiedeńskiego miesięcznika p. t. „Dusz-pasterz“, który otworzył dyskusję na temat: „Co robić?“ Na pytanie to odpowiedział najpierw sam inicjator dysku-sji, X. Dr Pfliegler, katecheta i zasłużony działacz spo-łeczny we Wiedniu, w tym mniej więcej sensie, że kato-licy powinni poddać rewizji swój dotychczasowy stosunek do socjalizmu, względnie do proletariatu, w tym sensie żeby nie zwalczać tych kierunków, lecz poniekąd pójść razem i podać im dłoń do zgody. Inni uczestnicy tej dysku-

sji wyrazili także nadzieję, że naprężenie między Kościołem a proletariatem, względnie socjalizmem, ustanie wówczas, gdy kler wycofa się z życia publicznego, względnie politycznego, i ograniczy się do pracy ściśle kościelnej, czyli religijnej. X. Prof. Kopler, widząc, że gorące serca dyskutujących poniosły niejednokrotnie aż tak daleko, że nie spostrzegli się, iż to, co mówią, obok ziarna prawdy, zawiera także dużo niejasnych pojęć, postanowił sprawę wyjaśnić w swej rozprawie. Podajemy ją w polskim przekładzie, bo choć asumpt do niej dały stosunki na gruncie wiedeńskim, to jednak zasady, o które Autor potrąca, są wszędzie te same, a w Polsce także mogą mieć znaczenie i — zastosowanie.

WSTĘP.

O pogańskim filozofie Diogenesie z Aten przechowała się następująca anegdota: Pewnego pięknego dnia w samo południe osobiwy ten filozof zjawił się na rynku z zapaloną latarnią, a kiedy ludzie zaciekawieni tym niezwykłym widokiem zaczęli się go pytać, czego też tak szuka w biały dzień z latarnią w ręku, on odpowiedział im: „Ludzi szukam, ludzi!“

Ilekróć się przypatrzymy temu, co się dzieje w życiu publicznem w niektórych krajach i miejscowościach, które uchodziły i uchodzą za katolickie, to mielibyśmy prawo spodziewać się, że spotkamy tam zbite masy katolickich mężczyzn i niewiast katolickich oraz liczne szeregi młodzieży katolickiej. Surowa atoli rzeczywistość niejednokrotnie mówi co innego i nie odpowiada tym oczekiwaniom. Albowiem jakoś nie widać tam zwartych mas katolickich mężczyzn i niewiast w życiu publicznem, tak, że w niejednej okolicy i miejscowości krajów katolickich chciałoby się z latarnią w ręku w biały dzień wyjść na ulice i place publiczne i zawołać: „A gdzież tu są katolicy?“

Nie wolno nam poprostu zamykać oczu na fakt, że nie wszyscy ci, co się nazywają katolikami, katolikami naprawdę są, że nie wszyscy w życiu publicznem występują jako katolicy.

Olbrzymia większość naszych robotników, jeżeli nie wszyscy, jest jeszcze katolicka. Bez wątpienia też ludzie ci przeważnie chcą być katolikami. A jednak, gdy przyjdzie pierwszy maj, czy wszyscy ci katolicy robotnicy krocą w szeregach robotników *chrześcijańskich*? Nie, lecz duży procent katolickich robotników idzie razem z organizacją *socjalistyczną*. Jaka jest przyczyna tego

dziwnego zjawiska? Co jest powodem, że nie wszyscy katolicy publicznie okazują się tem, czem przecież są według wewnętrznego przekonania?

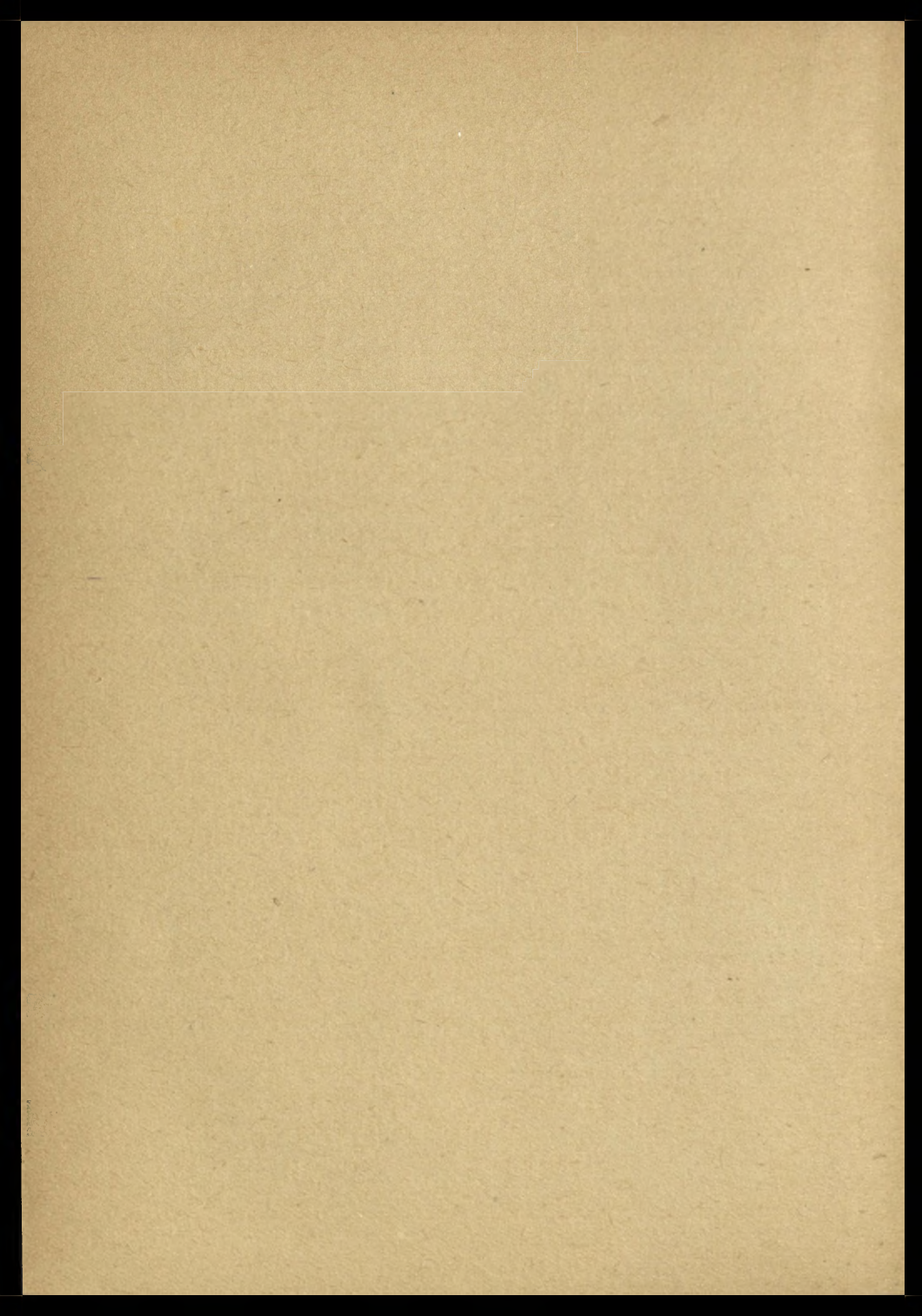
Przyczyny tego zjawiska są różne. Jedni z pewnością są poprostu tchórzami, i boją się publicznie przyznać, że są katolikami; ci chorują na bojaźń i względy ludzkie. Drudzy ulegają terrorowi ze strony socjalistów, którzy ich wręcz gwałtem wciskają i wpychają do czerwonych organizacji. Inni znowu są tak zniechęceni do partyj i stosunków politycznych, że już nie chcą słyszeć o całej tej robocie politycznej, która im już zbrzydła i stoi kością w gardle. Zrazili się do jakiejś partji, do jakiegoś stronnictwa, i teraz nie chcą wogóle brać udziału w życiu publicznem. Są jednak jeszcze tacy, których ktoś nazwał zwolennikami „chrześcijaństwa katakumbowego“, a którym się zdaje, że katolicy powinni się wogóle usunąć od życia politycznego. Mówią oni do siebie i do drugich, że katolicy powinni poprostu tylko wiernie spełniać swoje obowiązki przez zachowywanie przykazań boskich i kościelnych, pracować nad zbawieniem duszy, a o sprawy życia publicznego nie troszczyć się, bo to są sprawy drugorzędne, które się „same“ ułożą jak należy, jeżeli tylko wszyscy będą dbać o zbawienie duszy. Hasło tych ludzi tak opiewa: „Wycofać się z całego życia politycznego! Usunąć się do zacisza domowego i do kościoła!“

A jeszcze inni — a tych jest bodaj najwięcej — całkiem otwarcie wyznają zasadę, że w życiu publicznem chodzi tylko o sprawy polityczne, gospodarcze, finansowe i społeczne, które podobno z religją nie mają nic do czynienia. Ludzie ci tak lubią mówić: „Ja tam w niedzielę chodzę do kościoła, zachowuję posty, chodzę do spowiedzi, wierzę, bom katolik, uznaję przykazania boskie i jak ta umiem, zachowuję je, ale co się tyczy życia politycznego, to trzymam z tą partją, która najlepiej broni interesów mego stanu. W tej sprawie mogę robić, jak i co chcę, a Kościół nie może się do tego wtrącać, i religja nie nakłada na mnie w tym względzie żadnych obowiązków, bo religji nic do polityki“.

Gdy rozpatrzmy te tak różnorakie zdania, wówczas będziemy musieli stwierdzić, że, z wyjątkiem jednego wśród nich, wszystkie kierują się jedną wspólną myślą, mianowicie tą, iż w sprawach życia publicznego, zwłaszcza zaś politycznego, każdy może robić, co chce, że religja katolicka

co do spraw politycznych nie nakłada żadnych obowiązków, że katolik może brać udział w życiu publicznem, ale nie musi, bo to zależy od jego upodobania, że katolik może należeć do takiej czy innej partji, do tej czy innej organizacji, zależnie od tego, czy dana partja lub organizacja daje mu gwarancję korzyści osobistych lub klasowych, że religja w tym względzie nigdzie nie zakłada żadnego weta.

Nie da się zaprzeczyć, że takie i tym podobne zapatrywania panują nawet wśród szerokich sfer katolickich. Co więcej: jeżeli się nie mylę i jeżeli nie zrozumiałem fałszywie artykułów w niektórych czasopismach, przeznaczonych dla księży, to zdaje mi się, że takie zapatrywania wciskają się nawet do szeregów duchowieństwa. Przy najmniej ma się tu i ówdzie wrażenie, jakoby te idee przezierały mniej lub więcej wyraźnie z tego, co się czasem słyszy lub czyta. Ale może się mylę co do tego. Jednego mi jednak nikt nie zaprzeczy, mianowicie tego, że wspomniane idee są bardzo ważne i że temat „Religja a polityka“ dzisiaj jest tak aktualny, iż godzi się poświęcić mu osobne studjum.



I.

Rozmaite odpowiedzi na pytanie, jak się ma religja do polityki.

Jeżeli mamy dowiedzieć się, czy katolik w życiu publicznem, w szczególności zaś politycznem, może robić, co chce i jak chce, czy też może religja także i tutaj nakłada na niego obowiązki, wówczas musimy się najpierw przekonać, czy religja z polityką ma co do czynienia, lub nie. Bo jeżeli religja i polityka są to dwie różne dziedziny, oddzielone od siebie, to jasną rzeczą jest, że katolikowi jako katolikowi, to jest na podstawie jego religji, nie wyrastają żadne zobowiązania w stosunku do życia politycznego. Jeżeli natomiast religja także w polityce może i powinna zabierać głos, jeżeli między religją a polityką są jakie punkty styczne, to wynika stąd samo przez się, że katolik w odniesieniu do politycznej działalności musi się liczyć z nakazaniami swej religji.

Jakże tedy rzecz się ma: Czy religja ma co do czynienia z polityką, czy też każda z nich prowadzi swoje własne gospodarstwo domowe tak, że jedna z drugą nigdy się nie styka?

Każdy, kto to czyta, wie dobrze, że na to pytanie od wieków dawano rozmaite odpowiedzi.

1. Odpowiedź liberalów, socjalistów i komunistów. Stary liberalizm i jego nieodrodne dzieci, czyli dzisiejszy socjalizm i komunizm, dawniej i dzisiaj na wszystkie strony świata i na całe gardło wołają i krzyczą, że religji nic do polityki. Mówią oni, że każdy człowiek powinien ze swoim własnem sumieniem załatwiać

sprawę swojej wiary, lub swego niedowiarstwa, bo to jest jego osobista sprawa, czy wierzy w jakiego Boga, lub nie. Nikogo to podobno nie obchodzi, czy ty zachowujesz przykazania boskie i kościelne, lub nie, czy spełniasz swoje obowiązki religijne lub nie, czy jesteś katolikiem praktykującym lub nie. Zdania te ludzie ci ubrali w znane hasło: „Religia jest rzeczą prywatną“.

Ci sami ludzie mówią, że życie publiczne, w szczególności polityczne, jest suwerenne i od religii i Kościoła niezależne. Religia i Kościół, ich zdaniem, w sprawach politycznych nie mają absolutnie nic do gadania i nie powinny się mieszać do polityki, bo polityka należy tylko do państwa i do obywateli. To też papież z biskupami powinien się usunąć na pole czysto religijne, a nie wdawać się w sprawy polityczne, księża zaś niechby sobie zostali spokojnie w cichej zakrystji i w jeszcze bardziej cichym kościele, co najwyżej pokazując się w kancelarji parafjalnej, choć i tutaj już się ich nie bardzo mile widzi. Natomiast w sprawach publicznych, szczególnie zaś politycznych, księża podobno nie powinni zabierać głosu, bo te sprawy do nich nie należą. Co więcej, ludzie ci udzielają księżom chętnie takiej „dobrej“ rady: „Nie tykajcie wy jeno polityki, bo to nie tylko nie pomaga sprawom religji i Kościoła, lecz im właśnie szkodzi. Przecież jako kapłani, osoby duchowne i duszpasterze, powinniście wy, księża, stać ponad wszystkimi partjami, a to znaczy, żeście się powinni trzymać zdaleka od wszelkiej politycznej działalności“.

Taka więc jest pierwsza odpowiedź na nasze pytanie, odpowiedź liberałów i socjalistów. Streszcza się ona w tem, że religja z polityką nie ma nic do czynienia.

2. Odpowiedź niektórych teologów średniowiecznych.

Coś wręcz przeciwnego aniżeli liberałowie i socjaliści twierdzili niektórzy teologowie średniowieczni. Przypisywali oni Kościołowi bezpośrednią władzę nad państwem i nad sprawami doczesnemi. (Por. J. Hergenröther, *Katholische Kirche u. christlicher Staat*. Freiburg. i Br. 1873, str. 377 n.; F. M. Capello, S. J., *Summa juris publici ecclesiastici*, Romae 1923, p. 263). Dzisiaj jednak to ich zapatrywanie uchodzi za przestarzałe, i żaden teolog nie podtrzymuje go już w tej co oni rozciągłości i skrajności, choć zdaje się, że tu i ówdzie jeszcze czasem pokutuje w niektórych umysłach coś z tego

zapatrywania, mianowicie wtedy, gdy niektórzy katolicycy pisarze i mowcy czasem wygłaszają zdanie, że niema takiej dziedziny w życiu publicznem lub politycznem, któraby nie podlegała wpływom religji i Kościoła, że całe życie publiczne podlega religji i Kościołowi, że więc niema t. zw. „wolnych dziedzin“.

3. Odpowiedź właściwa. Oba poprzednio przytoczone zapatrywania są sobie biegunowo przeciwne, stanowią dwie ostateczności i skrajności, a jak to prawie zawsze bywa przy skrajnie sobie przeciwnych twierdzeniach, że żadne z nich nie jest prawdziwe, lecz prawda leży w pośrodku, tak też rzecz się ma w tym wypadku: prawda leży w pośrodku.

Czy religja z polityką ma co do czynienia lub nie, to zależy od tego, czem się zajmuje polityka. Jeżeli polityka zajmuje się jakąś sprawą, która należy do dziedziny religji, albo z religją ma jakąś styczność, wówczas religja z całą pewnością z polityką ma do czynienia; jeżeli natomiast polityka zajmuje się sprawami, które ze stanowiska religji są kwestjami otwartymi, wówczas i o tyle religja z polityką nie ma nic do czynienia.

Żeby więc właściwie ująć, przedstawić i określić stosunek religji do polityki, musimy wprzód zbadać, jakimi sprawami polityka zajmuje się, lub zajmować może — na razie nie obchodzi nas, czy ona to czyni słusznie lub niesłusznie — i czy wśród tych przedmiotów działalności politycznej znajdują się takie sprawy, które należą do zakresu religji, albo się stykają z dziedziną religji. Gdziekolwiek i kiedykolwiek takie sprawy zachodzą, tam religja z polityką ma coś do czynienia.

II.

Właściwy stosunek między religją a polityką.

Zanim przystąpimy do dalszych spraw, musimy raz na zawsze powiedzieć, co w tej rozprawie rozumiemy przez religję, a co przez politykę.

Mówiąc o religji, mamy na myśli oczywiście religję *prawdziwą*; ponieważ zaś religją prawdziwą jest tylko religja chrześcijańska, a z pośród różnych wyznań chrześcijańskich tylko *katolickie* chrześcijaństwo jest tą religją, którą założył i ogłosił Jezus Chrystus, przeto ilekroć w tej naszej rozprawie jest mowa o religji, należy to rozumieć o religji katolickiej.

Co się zaś tyczy słowa „polityka“, to należy odróżnić politykę jako naukę od polityki jako sztuki. Polityka jako nauka tutaj nas nic nie obchodzi; my politykę bierzemy w znaczeniu sztuki, i rozumiemy ją jako sztukę kierowania i rządzenia jakąś społecznością. Społeczność ta może być albo gminą, albo prowincją, albo wreszcie państwem. Zależnie od tego rozróżniamy między polityką gminną, krajową i państwową (narodową). Celem każdej społeczności jest ogólne dobro tych, którzy należą do danej społeczności; stąd można powiedzieć, że polityka jest to sztuka czyli umiejętność używania środków, zdolnych osiągnąć w sposób najlepszy w danych warunkach ogólne dobro danej społeczności. W następujących naszych wywodach, gdy będzie mowa o polityce, będziemy przez nią rozumieć przede wszystkim politykę państwową, a mianowicie *wewnętrzną*, w przeciwieństwie do zewnętrznej, która to polityka zewnętrzna zajmuje się utrzymywaniem poprawnych stosunków z innymi państwami, również niepodległymi.

Po tych wstępnych uwagach możemy przystąpić do odpowiedzi na pytanie, jaki jest stosunek religii do polityki. Widzieliśmy już, że odpowiedź ta zależeć będzie od tego, jakie to sprawy wchodzą w zakres polityki. Czemże więc zajmuje się polityka, albo przynajmniej: czem może się faktycznie zajmować, czy to będzie czynić słusznie, lub nie, per fas lub nefas?

Ze względu na stosunek do religii sprawy życia prywatnego dzielimy na trzy klasy, czyli na sprawy *czysto świeckie (doczesne)*, *czysto religijne i mieszane*.

1. **Sprawy czysto polityczne, czysto świeckie (doczesne).** Pierwszą kategorię stanowią tedy sprawy czysto doczesne, czysto świeckie, czysto ziemskie, czysto gospodarcze, czyli czysto polityczne. Nazywamy je tak dlatego, ponieważ leżą one w zakresie spraw czysto światowych i służą celom tylko świeckim, czyli światowym.

Takich spraw czysto światowych zarówno w życiu prywatnym, jako też w publicznym jest bardzo wiele. Jeżeli kto ma budować dom albo go restaurować, urządzić mieszkanie, sprawić meble, uszyć ubranie, kupić narzędzia, założyć ogród, uprawić pole i łąkę, sprowadzić nawóz, zużytkować bydło i produkta rolnicze, skonstruować maszynę i t. d., to nie zagląda on w tym celu najpierw do Pisma św., do pism Ojców Kościoła, albo do zbioru orzeczeń Kościoła. Tego nikt nie robi z tej prostej przyczyny, ponieważ źródła wiary nie nam nie mówią o takich sprawach czysto światowych, czyli świeckich. Zamiast w takich sprawach radzić się Pisma świętego, Ojców lub orzeczeń Kościoła, udajemy się

poprostu do głowy po rozum, sięgamy do własnego lub do cudzego doświadczenia, zwracamy się do rzemieślnika, rękodzielnika, kupca lub innego fachowca, albo też w sprawach trudniejszych dowiadujemy się, co mówi nauka techniczna lub agronomja.

A podobnie jak w życiu prywatnem, rzecz ma się także w życiu publicznem. Tutaj nikt ani w Biblji, ani w nauce Kościoła nie szuka odpowiedzi na pytanie, czy wybrać taką lub inną formę ustroju państwowego, czy zaprowadzić monarchję lub republikę, czy ma być armja stała, czy też ma to być milicja, czy ma obowiązywać trzyletnia lub ośmiomiesięczna służba wojskowa, czy pocztę, telefony i telegrafy, koleje i kopalnie ma przejąć państwo, czy też towarzystwa prywatne, czy trzeba budować kolej do Pacanowa, czy też do Psiej Wólki, czy należy zaprowadzić komunikację lotniczą z Pekinem, czy też z Nowym Jorkiem: takich i tysiąca podobnych spraw nikt nie będzie rozstrzygał z Biblją w ręku, bo to są sprawy otwarte ze stanowiska religji. Przy rozwiązywaniu takich zagadnień musi poprostu rozstrzygać wzgląd na to, czy to lub owo jest dla państwa pożyteczne czy szkodliwe, czy się to da przeprowadzić lub nie, czy są na to potrzebne fundusze lub nie, i t. p. Można spokojnie powiedzieć, że ministerstwa w swoich rozporządzeniach i przedłożeniach ustaw przeważnie nader rzadko dotyczą dziedziny religji, lecz zazwyczaj zajmują się takimi sprawami, które ze stanowiska religji są obojętne (neutralne, indyferentne).

O ile sprawy te czysto doczesne nie mogą być zdane na samowolę jednostek, lecz domagają się ujęcia w ramy ustawowe, regulowanie ich jest zadaniem państwa, a nie Kościoła, ponieważ nie mają one nic do czynienia z religją. Kościół zawsze to uznawał, że przytoczymy tylko Leona XIII, który w encyklice „*Diuturnum illud*” z dnia 29. czerwca 1881 roku orzekł wyraźnie: „Kościół uznaje i naucza, że to, co dotyczy świeckiego życia obywateli, podlega władzy i najwyższej decyzji panującego”.

2. Sprawy czysto religijne. Naprzeciw spraw czysto świeckich mamy sprawy czysto religijne, które państwo nowoczesne nazywa „sprawami wewnętrznymi” każdego wyznania, czyli wszystkie sprawy „duchowne”, które są potrzebne i pożyteczne człowiekowi, żeby mógł osiągnąć swój cel ostateczny. To, czego uczy objawienie Boskie i czego nie uczy, co nakazuje, albo czego zakazuje

moralne prawo Boże, co należy do ważnego i dozwolonego sprawowania Sakramentów, jak należy odprawiać służbę Bożą, czego i jak należy uczyć z amfony, kiedy i jak dzieci mają pobierać naukę religii, kiedy je należy dopuszczać do Sakramentów, czego potrzeba do przyjęcia do Kościoła, kiedy kogo należy wykluczyć z Kościoła, wszystkie postanowienia co do świąt kościelnych i co do postów, co do odpustów, co do ślubów zakonnych, warunków święceń: te i liczne inne rzeczy są to takie sprawy, które należą wyłącznie do zakresu religii, i stanowią, że się tak wyrażę, najintymniejsze sprawy domowe i rodzinne religii. Wprawdzie w tych sprawach czysto religijnych chodzi o takie rzeczy, które dotyczą nie tylko prywatnego życia, lecz często także publicznego, ale ich uporządkowanie nie jest zadaniem państwa, lecz religii, względnie społeczności religijnej, czyli Kościoła, jeżeli mamy nie wrócić na nowo do pogrzebanych na wieki czasów józefińskiego państwa policyjnego, kiedy to państwo — w sposób równie zuchwały, jak śmieszny — zachowywało się tak, jak gdyby było w jednej osobie papieżem, biskupem, proboszczem i braciszkiem zakrystjaninem.

3. Sprawy mieszane. Obok spraw czysto religijnych są jeszcze tak zwane sprawy mieszane; jeżeli sprawy te dotyczą życia publicznego, wówczas nazywają się one sprawami kościelno-politycznymi. W sprawach tych zawsze chodzi o takie rzeczy, które są równocześnie i świeckie i duchowne, i dlatego wchodzą w zakres zadań i państwa i religii: stąd ich nazwa: sprawy mieszane (*res mixtae*¹⁾). Sprawy mieszane są znowu dwojakiego rodzaju: są one mieszane bądź same przez się i zawsze, bądź też tylko przypadkiem.

¹⁾ Mówiąc o „sprawach mieszanych“, bierzemy ten wyraz w znaczeniu właściwym i ścisłym, i rozumiemy go o tych wszystkich rzeczach, które *attenta earum natura* (na mocy swej istoty) wchodzą w zakres działalności Kościoła i państwa, a nie o tych, które stały się sprawami mieszanymi dopiero na mocy koncesji lub konwencji (z powodu ustępstwa lub ugody), albo na podstawie jakiegoś prawa zwyczajowego. Tę okoliczność należało zaznaczyć dlatego, ponieważ niektórzy pisarze „mieszanymi“ nazywają także takie sprawy, które same w sobie są albo czysto kościelne, albo czysto państwowe, ale na ich uporządkowanie albo Kościół przyznał wpływ państwu, albo państwo Kościołowi. Tworzenie i organizowanie diecezji i parafij, nadawanie posad kościelnym organom urzędowym, zarząd majątkiem kościelnym i t. p. są to same w sobie sprawy czysto kościelne.

a) Sprawy mieszane same przez się i zawsze (*res per se mixtae*) są to takie sprawy, które w samej istocie swojej są tego rodzaju, że zawsze i wszędzie posiadają jedną stronę świecką, a drugą duchowną, mają styczność zarówno z ziemskimi, jak i z duchownymi interesami człowieka i dlatego zawsze wchodzą w zakres interesów tak religij, względnie Kościoła, jak i państwa. — Do tych spraw trzeba zaliczyć np. małżeństwo chrześcijańskie; jest ono sakramentem, a zatem należy do spraw religijnych, bo szafowanie sakramentami powierzone jest Kościołowi, a nie państwu. Ale małżeństwo jest także podstawą rodziny, a więc także państwa, bo państwo składa się z rodzin, i dlatego państwo jest nader żywo zainteresowane właściwem uporządkowaniem spraw małżeńskich i rodzinnych. Do spraw z natury swej mieszanych należy także szkoła i wychowanie młodzieży. Szkoła jest nie tylko zakładem nabywania wiedzy, lecz przedewszystkiem zakładem wychowawczym; wychowanie zaś winno być oczywiście wychowaniem religijno-moralnem, i z tego względu podlega ono społeczności religijnej, to jest Kościołowi. Ale także państwo jest wysoce zainteresowane szkołą i wychowaniem młodzieży, bo państwo nie może osiągnąć swego celu, czyli dobrobytu doczesnego obywateli, jeżeli dzieci nie nabędą wiadomości potrzebnych im w życiu,

Często jednak działo i dzieje się tak, że Kościół we wszystkich tych sprawach przyznaje państwu pewne prawa tak, że sprawy te potem Kościół może załatwiać jedynie w porozumieniu z państwem; tym sposobem sprawy te stają się także „*res mixtae*“, ale nie na mocy swej istoty, lecz na mocy dobrowolnego ustępstwa ze strony Kościoła. Z drugiej strony znowu za dawnych czasów Kościół sprawował daleko sięgające sądownictwo w sprawach czysto świeckich nawet nad osobami świeckimi, nie dlatego, jakoby Kościół od siebie miał prawo do wydawania wyroków w tych wszystkich rzeczach, lecz dlatego, ponieważ państwo odstąpiło Kościołowi sądownictwo nad nimi.

Bardziej niewłaściwym staje się sposób mówienia wówczas, jeżeli pewne sprawy czysto kościelne, lub czysto państwowe nazywa się sprawami „mieszanymi“ dlatego, ponieważ sposób, w jaki te sprawy załatwia państwo, względnie Kościół, może przynieść korzyść lub szkodę Kościołowi, względnie państwu. Tak np. obsadzanie urzędów państwowych może Kościołowi przysporzyć korzyści lub szkód, zależnie od osób, które państwo powołuje na dane wpływowe urzędy, i na odwrót obsadzanie urzędów kościelnych może być dla państwa korzystne lub szkodliwe, zależnie od osób, które dane urzędy otrzymują. O takich sprawach mieszanych w znaczeniu obszernem lub najobszerniejszem nie będziemy mówić.

i jeżeli przez dobre wychowanie nie staną się porządnymi obywatelami państwa. To samo można powiedzieć o sprawie cmentarzy i grzebania zwłok. Od właściwego grzebania zwłok w znacznym stopniu zależy zdrowie narodu, nad którem winno czuwać państwo. Grzebanie zmarłych jest jednak także obrzędem religijnym i urzędową czynnością kościelną, więc także Kościół jest zainteresowany sprawą grzebania zwłok i sprawą cmentarzy. Do spraw mieszanych z natury swej należy nadto opieka nad ubogimi, chorymi i t. d.

Przykłady te winny wystarczyć, bo nasze zadanie tutaj na tem tylko polega, żeby wykazać, że istnieją tego rodzaju sprawy z natury swej i zawsze mieszane; naszem natomiast zadaniem nie jest wyliczenie ich wszystkich.

Przytoczone przykłady są dowodem, że te sprawy mieszane nie są bynajmniej drobnostkami, lecz często rzeczami o pierwszorzędnej doniosłości. Kto się niemi ma zająć? Czy tylko państwo? Ależ w takim razie wkraczałoby ono w prawa Kościoła. Albo czy tylko Kościół? Także nie, bo toby się równało wtargnięciu w prawa państwa. Nie pozostaje tedy nic innego, jak żeby sprawy te ujął Kościół wspólnie z państwem i żeby one były załatwiane w ścisłym porozumieniu między Kościołem i państwem, bo wchodzą w zakres interesów jednego i drugiego.

b) Obok spraw, które z natury swej i zawsze są sprawami mieszanymi, są jednak sprawy inne, które (z natury swej) są sprawami

mieszanymi przypadkowo.

Są to takie sprawy doczesne, świeckie, ziemskie, które same przez się z religią nie mają nic do czynienia, a tylko wskutek szczególnej (przypadkowej) okoliczności dotyczą sfery religji, czyli katolickiej nauki wiary i obyczajów, lub prawa boskiego i kościelnego. Przykłady nam to wyjaśnia. — Gimnastyka sama w sobie nie jest sprawą ani religijną, ani niereligijną, lecz właściwie obojętną; po prostu niema ani katolickiej gimnastyki drażkowej, ani protestanckiej gimnastyki na koźle, ani żydowskiego wyciążu brzuszno: gimnastyka jest sobie rzeczą nawskroś świecką. Czy mamy ćwiczyć z przyrządami lub bez przyrządów, które ćwiczenia trzeba uprawiać i jak, to z religią nie ma nic do czynienia; Kościół nigdy nie czuł

w sobie powołania na nauczyciela gimnastyki. Mimo to może się przytrafić, że w czasie ćwiczeń gimnastycznych zostanie obrażona chrześcijańska wstydlivość. Nie twierdzimy bynajmniej, że to się przytrafia naprawdę, ani też, że tak być musi, ale nikt nie powie, że się to przytrafić nie może, bo się *przypadkowo może przytrafić*. Ale jeżeliby się coś takiego przytrafiło, wówczas gimnastyka przestaje być sprawą czysto świecką, i staje się sprawą (przypadkowo) mieszaną, ponieważ dotyka przepisów moralności chrześcijańskiej. Ponieważ Kościół jest stróżem tej moralności, przeto w takim wypadku zaczyna się jego kompetencja także w zakresie gimnastyki, i może on wkraczać w tę dziedzinę, ale tylko o tyle, o ile w grę wchodzi kwestja *moralności*, nigdy zaś w tym celu, żeby się wdawać w sprawy gimnastyczne jako takie. Tak samo rzecz się ma ze sportem i jego różnemi rodzajami. Sport jest czemś na wskrós świeckiem, światowem, często nawet aż zanadto światowem. Religja nic nie mówi o tem, bo też nic nie ma do powiedzenia, jak się ma uprawiać sport wędkarski, czy wogóle rybołówczy, myśliwski, wysokogórski, pływacki, samochodowy, wioślarski, footballowy i tysiąc innych. Z chwilą atoli, jakby się miało przytrafić — ale znowu powiadam, że się tak stać nie *musi* — jeżeliby się jednak przytrafiło, żeby ten lub ów rodzaj sportu, takie czy inne ćwiczenie sportowe, albo pewne okoliczności, wśród których się sport uprawia, miały w czemkolwiek obrażać moralność, zagrażać zdrowiu, albo zgoła życiu ludzkiemu, czy też uczestników odciągać od ich obowiązków — z chwilą tą sport przestaje być sprawą czysto światową i staje się sprawą mieszaną, bo dotyka dziedziny prawa moralności; i o ile tak jest, wówczas Kościół ma prawo wdać się w tę dziedzinę, ale tylko w tym celu oczywiście, żeby się zająć stroną moralną sportu; poza tę stronę moralną jednak Kościół posunąć się nie może.

W podobny sposób należy oceniać kwestję **modnego ubrania**, gdzie jednak konflikt z prawem moralności może zajść znacznie łatwiej, aniżeli gdzieindziej. Ze stanowiska religji jest najzupełniej obojętne, czy ludzie noszą ubrania ze skór zwierzęcych, czy też z bawełny lub jedwabiu, czy się ubierają w togi i tuniki, jak dawni Rzymianie, czy też w pantaloney, kamizelki, smokingi, czy suknia ma kształt krynoliny czy też worka na mąkę, czy ludzie

sobie golą i strzygą włosy i brody, lub też noszą je długie. Kościół jeszcze nigdy nie wydawał czasopisma mód. Jeżeliby się jednak miało przytrafić — znowu powiadam: nie *musi* się przytrafić — iżby moda, jaką sobie wybiera pleć brzydka czy piękna, obrażała moralność, bo albo zanadto obnaża części ciała, albo zanadto zmysłowo podkreśla jego kształty, wówczas sposób ubierania się już nie jest sprawą czysto świecką, lecz wkracza w zakres religji, a Kościół, jako stróż prawa moralności, uprawniony jest do zabrania głosu w kwestjach mody i rozwiązania ich ze strony moralności, nie wdając się oczywiście w to, jaką modę należy wprowadzić, lub jak teraz mają przykrawać i szyc szewcy i krawcowe.

Weźmy inny przykład. Przypuśćmy, że gdzieś w jakimś kraju katolicy zaczęą rozprawiać na temat w sobie samym tak dalece świecki, jak np. sprawa ustroju państwowego, sprawa monarchji lub republiki, a rozprawy te zaczynają się tak zaogniać, że wszyscy dostawszy formalnie gorączki, zapominają o obowiązkach sprawiedliwości i miłości, a nawet dochodzi do czynnych wykroczeń jednego stronnictwa przeciwko drugiemu; wówczas znowu kwestja, która sama przez się jest czysto polityczna, staje się sprawą mieszaną, bo dotyka sfery moralności chrześcijańskiej. Kościół pod tym kątem widzenia znowu nabiera prawa do wdania się w rzecz; i gdyby nie było innego sposobu na zaprzestanie ciężkich wykroczeń przeciwko miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej, wówczas Kościół katolikom mógłby nawet wręcz zabronić wszelkich rozmów na temat ustroju państwowego, choć naturalnie nie mógłby im zarazem wprost nakazać, żeby się oświadczyli za taką czy inną formą państwową.

Podobne stanowisko należałoby zająć na wypadek, gdyby katolicy w jakimś kraju należeli do różnych stronnictw politycznych, które w myśl swoich programów wprowadzie uznają prawa religji i Kościoła i stają w ich obronie, ale poza tem tak się zwalczają, że wskutek tej walki bratobójczej cierpi tylko religja i Kościół. W takim wypadku Kościół znowu na prawo wystąpić.

Naogół należy powiedzieć, że do tych spraw *przypadkowo* mieszanych zaliczają się te wszystkie świeckie poczynania lub działania, które noszą na sobie znamię grzechu (omnes actus, in quibus invenitur ratio peccati). O ile działania te zajmują się sprawami świeckimi, o tyle

znajdują się poza sferą religji i nie podlegają w żaden sposób Kościołowi. O ile natomiast zdradzają cechy grzechowe — co jednak wcale *nie musi* się przytrafić — o tyle wchodzą w zakres religji, gdyż przeszkadzają człowiekowi w dążeniu do celu ostatecznego we wieczności — a to jest sprawa wybitnie religijna. O tyle więc, o ile w sprawach takich zachodzi wzgląd na grzech, działania te podlegają także Kościołowi, najpierw oczywiście tylko w zakresie sumienia (*in foro interno*), a w zewnętrznym zakresie prawa (*in foro externo*) tylko wówczas, gdyby sprawy te poważnie naruszały porządek w Kościele.

Tym sposobem zaznajomiwszy się z różnemi rodzajami spraw, któremi się zajmuje polityka, albo przynajmniej zajmować może, teraz już łatwo odpowiemy sobie na pytanie, jaki zachodzi stosunek między religją i polityką.

Odpowiedź ta mieści się w dwóch zdaniach:

1. Jeżeli polityka zajmuje się sprawami czysto *doczesnemi, światowemi, ziemskimi*, jednym słowem *politycznemi*, wówczas nie zależy ona od religji.

2. Jeżeli natomiast polityka oddaje się sprawom *mieszanym lub kościelno-politycznym*, albo zgoła jeżeli sprawy *czysto religijne* bierze na swoje forum, wówczas religja ma wiele do czynienia z polityką i musi zabierać głos, ponieważ wtedy znowu chodzi o sprawy, które należą *albo jedynie i wyłącznie, albo także* do dziedziny religji.

Jeżeli więc liberalizm, socjalizm i komunizm głosi, że religja z polityką nie ma nic do czynienia, to twierdzenie takie jest tylko o tyle i dopóty prawdziwe, o ile i dopóki chodzi o sprawy czysto świeckie, jest natomiast całkiem fałszywe, o ile w grę wchodzi sprawy religijne i mieszane. A gdy z przeciwnej strony słyszy się, że w życiu publicznem i politycznem niema dziedziny wolnej, któraby nie była pod władzą religji i Kościoła, to jest w tem prawda o tyle tylko, o ile chodzi o sprawy religijne i mieszane, natomiast twierdzenie takie jest zgoła fałszywe, o ile się ono odnosi do spraw czysto doczesnych lub czysto politycznych.

III.

Kościół i polityka.

Skoro wiemy, jaki zachodzi stosunek między religją a polityką, wiemy tem samem, jaki jest stosunek Kościoła do polityki, gdyż Kościół to nic innego, jak zorganizowana religja chrześcijańska.

Kościół jest to społeczność religijna, założona przez Chrystusa po to, żeby głosiła jego naukę, szafowała ustanowionemi przezeń środkami łaski, kierowała jego wyznawcami i rządziła nimi w tych wszystkich sprawach, które należą do dziedziny wiary i obyczajności chrześcijańskiej. Władza i kompetencja (uprawnienie) Kościoła sięga tak daleko, jak daleko sięga zakres wiary i obyczajności chrześcijańskiej. Gdzie natomiast kończy się dziedzina nauki wiary i obyczajności chrześcijańskiej, tam ustaje także władza i kompetencja (uprawnienie) Kościoła.

a) Jeżeli tedy polityka zajmuje się sprawami czysto religijnymi albo mieszanemi, wówczas zajmuje się ona takimi sprawami, które bądź wyłącznie należą do zakresu religji, bądź też wchodzą także w ten zakres, czyli sprawami, co do których Kościół jest albo jedynie i wyłącznie, albo także kompetentny. Stąd Kościół ma prawo do zabierania poważnego i decydującego głosu we wszystkich tych sprawach, ilekroć polityka zajmuje się niemi.

b) Jeżeli natomiast polityka zajmuje się sprawami czysto doczesnemi, świeckimi, ziemskimi, politycznemi, to Kościół nie ma nic do gadania w tych sprawach, dopóki sprawy pozostają sprawami czysto światowemi, czysto politycznemi. Skoro jednak jakaś okoliczność sprawi, że tematy te dotyczą dziedziny religji, wówczas stają się one sprawami mieszanemi, i Kościół może na nie wpływ wywierać, o ile zostaje tknięta sfera wiary katolickiej i obyczajności katolickiej.

Kto się spokojnie zastanowi nad temi dwoma zdaniem, ten musi przyznać, że one się rozumieją same przez się.

Ale bo też czy to nie jest zgola jasne i oczywiste, że sprawy czysto religijne należą do Kościoła i religji? Do kogóż bowiem Chrystus wyrzekł te słowa: „Ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój“? (Mt. 16, 18).

Kogóż to Kościół upoważnił następującemi słowy: „Jako mię posłał Ojciec, tak i ja posyłam was“ (Jan 20, 21); „Idąc tedy na cały świat, nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je... i ucząc je chować wszystko, cokolwiek wam przykazałem“? (Mt. 28, 10). Czy to może było powiedziane do Tyberjusa, Nerona, Napoleona, lub jakiego posła do parlamentu, a nie do Piotra i do Apostołów i ich prawowitych następców, do Papieża i biskupów? Do nich więc należy rządzić Kościołem i opatrować sprawy kościelne, a nie do państwa i do polityków. Wprawdzie państwo ma obowiązek strzeżenia praw i swobód Kościoła, bo katolicy są także obywatelami państwa i mają swoje prawa religijne, ale zadaniem państwa nie jest pozbawianie obywateli praw i swobód, albo ich ograniczanie. Przeciwnie, państwo ma obowiązek stać na straży tych praw i dopomagać do tego, żeby obywatele katolicy mogli swobodnie z nich korzystać. Natomiast w sprawach czysto religijnych rządzić państwu nie wolno, bo do tego ma prawo Kościół i tylko Kościół. Każde państwo, każdy urzędnik, każdy polityk, który się miesza do rządów w sprawach czysto religijnych, uwłacza samodzielności Kościoła, targa się na cudze prawa i wkracza w dziedzinę, w której nie jest kompetentny.

I pytam się znowu: czy to nie jest rzecz jasna i oczywista, że Kościoła należy słuchać także w sprawach mieszanych, lub kościelno-politycznych? Jeżeli prawdą jest, że państwo jest zainteresowane we wszystkich tych sprawach, które są mieszane same przez się i zawsze, to tak samo prawdą jest, że równie interesowanym w tychże sprawach jest także Kościół. Wystarczy przypomnieć sobie to, cośmy powiedzieli, przytaczając przykłady z małżeństwem, ze szkołą, z wychowaniem młodzieży, z grzebaniem umarłych i t. d. Jeżeli państwu wolno domagać się, żeby w tych wszystkich sprawach mogło głos zabierać i strzec swoich praw, to i Kościół z takim samym, a nawet z większym prawem, może żądać, żeby się liczono z jego głosem i uwzględniano jego żądania; wszak zadanie Kościoła jest o tyle wyższe.

Tak samo jasną i oczywistą jest kompetencja Kościoła, gdy chodzi o sprawy, które mieszanemi są tylko *przypadkowo*. Gdyby Kościół w tych sprawach miał usta zamknięte, wówczas nie mógłby przecież wcale spełnić swej misji, która na tem poelga, że ma on być przewodcą

wiernych w dziedzinie wiary i obyczajów. Albo czy może Kościół ma spokojnie i milcząco patrzeć, gdy tylnymi drzwiami „neutralnej dziedziny“ i pod płaszczykiem sportu, mody, kultury ciała i t. d. przemycają rozpamiętanie moralne i swawolę etyczną? Czyżby na tem polu miał panować stan *ex-lex*? Nie! Mileczeń mógłby Kościół na to wszystko tylko wówczas, gdyby się przestał poczuwać do swego obowiązku.

A teraz pytam się po raz trzeci: Czy to nie jest całkiem jasne: czy się nie rozumie samo przez się, żeby Kościół w sprawach czysto świeckich lub czysto politycznych nie zabierał głosu? Zadanie Kościoła na tem polega, żeby dalej sprawował to posłannictwo, które sprawował Chrystus i które Chrystus przekazał Kościołowi. Skoro więc są takie sprawy, dla których załatwiania Pan Jezus nie przyszedł na ten świat, przeto także Kościół nie został założony do ich załatwiania. A właśnie Chrystus Pan z wszelką pewnością nie po to zjawił się na ziemi, żeby ludzi nauczył uprawy roli, hodowli bydła, rzemiosła szewskiego, stolarskiego, garbarskiego; Chrystus z pewnością nie po to żył na świecie, żeby nam pokazać, jak się zakłada państwa, jak się urządza ministerstwa, jak się organizuje wojny, jak się buduje maszyny, urządza stacje radiowe, jak się wytycza drogi i koleje: jednym słowem, Chrystus Pan nie po to był posłany, żeby nam powiedzieć, „jak się niebo obraca, lecz jak się do nieba wkracza“. Dlatego też Kościół nie na to jest i nie po to został założony, żeby rowiażywał te czysto ziemskie zadania lub czysto polityczne załatwiał sprawy, lecz po to, żeby ludzi prowadził do nieba. Zadaniem Kościoła jest staranie się o dusze i zbawienie ich.

IV.

Kiedyż więc polityk katolicki i wogóle każdy katolik winien słuchać Kościoła, a kiedy nie?

Po tem, cośmy poprzednio powiedzieli, odpowiedź na to pytanie jest już bardzo łatwa.

1. Jeżeli chodzi

o sprawy czysto religijne,

wówczas polityk katolicki, działacz katolicki, jednym słowem każdy katolik w życiu publicznem i prywatnem

winien słuchać Kościoła i tylko Kościoła; w tych bowiem sprawach tylko Kościół jest kompetentny.

2. Jeżeli natomiast chodzi o

sprawy mieszane, czyli kościelno-polityczne, wówczas każdy polityk katolicki i wogóle każdy katolik, czy mężczyzna czy kobieta, musi słuchać także Kościoła; nie mówię „tylko“ Kościoła, lecz „także“ Kościoła. Bo we wszystkich tych sprawach chodzi nie jednostronnie o prawa państwa, lecz o prawa i interesy jednego i drugiego. Według słów i przykazania Chrystusa Pana, że należy oddać cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego, katolik musi oddać Kościołowi to, co jest prawem kościelnym, a państwu to, co jest prawem państwowym. Czego zaś w sprawach mieszanych domaga się wiara, czego się domagają przykazania boskie i czego żądają prawa boże, o tem sądzić i ostatecznie postanawiać ma prawo Kościół, ma papież, mają biskupi. To też katolik co do tych punktów winien się ściśle i wiernie trzymać wskazówek i poleceń papieża i biskupów, bo w tej dziedzinie tylko oni są kompetentni. Nic przeto dziwnego, że w ciągu wieków, zwłaszcza zaś w nowszych czasach, Kościół wciąż na nowo podnosił swój głos, ilekroć chodziło o prawa Kościoła co do małżeństwa, co do szkoły, co do wychowania młodzieży, i że posłowie katolicy i inni ludzie świeccy bronili praw Kościoła w sposób nieustraszonej, wśród ofiar swego majątku i swej wolności.

3 W sprawach czysto świeckich czyli czysto politycznych polityk katolicki i wogóle każdy katolik jest zupełnie swobodny i niezależny od Kościoła. Stanowisko to Rzym zawsze uznawał i sam je także zajmował. Żeby nie przytaczać słów w tej mierze papieży średniowiecznych, przypomnę tylko

a) Leona XIII, który w encyklice „*Diuturnum illud*“ (29. czerwca 1881 roku) uczy wyraźnie: „Kościół uznaje i oświadcza, że to, co się obraca w dziedzinie życia obywatelskiego (państwowego, cywilnego), podlega władzy i najwyższemu rozsądzeniu (*supremo imperio*) panujących“. Tę samą naukę powtórzył ten papież nieco później w encyklice „*Immortale Dei*“ (1. listopada 1885). Przydzieliwszy w niej władzy kościelnej wszystko to, co w sprawach ludzkich w jakikolwiek sposób święte jest,

dotyczy zbawienia dusz lub czci Pana Boga, tak mówi Leon XIII: „Wszystko inne natomiast, co wchodzi w zakres spraw obywatelskich lub politycznych, z pełnem prawem podlega władzy państwowej, gdyż Chrystus nakazał oddać cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego“. A w encyklice „*Sapientiae christianae*“ (10. stycznia 1890) czytamy znowu: „Z tego rozgraniczenia prawa i obowiązku (państwa i Kościoła) wynika, że kierownicy państw w załatwianiu swych spraw są wolni, i to nie tylko za zgodą Kościoła, lecz nawet za jego poparciem“.

Wiadomo, że w czasie pruskiego „kulturkampfu“ stronnictwo centrum przez Dra Majunke'go zwróciło się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o wskazówki we walce o prawa Kościoła przeciwko rządowi, który Kościołowi wypowiedział był ów osławiony „kulturkampf“. Wtedy na rozkaz Papieża sławny i poważany profesor dogmatyki w rzymskim uniwersytecie Gregorjańskim, a późniejszy kardynał, Franzelin, ułożył szereg w tej sprawie zdań wytycznych, których pierwsze tak brzmi: „W sprawach *czysto politycznych* centrum posiada zupełną swobodę i niezależność od Stolicy Świętej“.

Kiedy zaś tenże Leon XIII niemieckiemu centrum dał do zrozumienia, że życzyłby sobie, ażeby ono głosowało na rzecz septenatu, to jest uchwaliło na dalszych lat siedm pokojową siłę prezencyjną armji Rzeszy niemieckiej i potrzebny na ten cel budżet, ponieważ miano obiecać papieżowi zupełną rewizję ustaw majowych, wówczas prezes stronnictwa centrum oświadczył, że nie może być posłusznym przy głosowaniu za ustawami w sprawach niekościelnych i takich, które nie dotyczą praw Kościoła. Stolica Święta stanowisko to uznała i zaznaczyła, że stronnictwu centrum, o ile ono było stronnictwem *politycznem*, zawsze zostawiano *pełną swobodę działania*. Że zaś w kwestji septenatu Stolica Święta wyraziła pewne życzenie, należy to przypisać tej okoliczności, że z ową sprawą łączyły się względy natury religijnej i moralnej¹⁾.

b) Takie samo stanowisko jak Leon XIII zajął Pius X. Do wypowiedzenia się w tym przedmiocie nadarzyła się mu następująca sposobność. Delegatem Ojca św. na Walny Zjazd katolików w Niemczech w roku 1906 był kardynał Wincenty Vannutelli. Według komunikatów prasowych miał on w przemówieniu, wygłoszonem w Essen (w sierpniu 1906 r.), pochwalić katolików niemieckich za posłuszeństwo, które każe im „we wszystkich poczynaniach, czy to w sprawach religijnych, czy też obywatelskich lub społecznych ulegać słowom biskupów i powadze Stolicy Świętej“. Kiedy mimo urzędowych sprostowań owego prze-

¹⁾ Patrz *Hüsgen, Dr. E.*, Ludwig Windthorst⁷, Köln 1911, str. 231 nn.

mówienia nie przestawano nadużywać owych słów, rzekomo ogłoszonych przez kardynała-delegata, i skierowywać ich przeciwko katolikom, wówczas Pius X w piśmie do arcybiskupa kolońskiego, kardynała Fischera, z dnia 30 października 1906 r. wyraził zadowolenie, że Niemiecacy katolicy często zapewniają, iż we wszystkich sprawach *religijnych* chcą ulegać powadze Stolicy Apostolskiej. Następnie Papież tak pisze: „Chociaż są tacy, którzy nie znając prawdy, gwałtownie zwrócili się przeciwko temu, przecież posłuszeństwo to, jak uczy nieustające doświadczenie, *każdemu pozostawia całkowitą i nieograniczoną swobodę w tych sprawach, które nie tykają religji*“¹⁾).

Czy można rzecz tę wyrazić jeszcze dokładniej? Oto sprawy, które nie dotyczą religji, są to sprawy czysto świeckie, czysto polityczne. A w tych sprawach według słów Papieża *każdy* katolik posiada pełną i nieograniczoną swobodę, czyli w sprawach tych jest od Kościoła zupełnie niezależny.

4. Co tu było powiedziane o pojedynczych osobach, to odnosi się także do organizacji politycznych, do związków, stowarzyszeń i t. d. Przez to bowiem, że katolicy organizują się w stowarzyszeniach lub stronnictwach, nie usuwają się przecież od jurysdykcji Kościoła. Jak więc pojedynczy katolik w życiu prywatnem i publicznem w sprawach czysto religijnych winien słuchać tylko Kościoła, a w sprawach mieszanych także Kościoła, zaś w sprawach czysto świeckich jest wolny, tak samo polityczne stowarzyszenia i organizacje katolików w sprawach czysto religijnych muszą słuchać tylko Kościoła, w sprawach mieszanych winny słuchać także Kościoła i bronić jego praw na tem polu, w sprawach natomiast czysto politycznych posiadają swobodę, jakieśmy to nieco wyżej słyszeli od kardynała Franzelina w sprawie niemieckiego katolickiego centrum.

Dlatego należy stwierdzić, że jest to tylko czczą gadanina i niezgrabną próbą zdyskredytowania niezależności politycznych stronnictw i organizacji katolików, gdy się wciąż mówi o nich, że jakoby szli na pasku Kościoła, byli politycznymi pacholkami biskupów i t. p. Zależność ich bowiem nie idzie dalej, aniżeli zależność każdego

¹⁾ Archiv. für kath. Kirchenrecht (tom 87), 1907, str. 287.

katolika z osobna, i rozciąga się tylko na sprawy czysto religijne i kościelno-polityczne, czyli mieszane, i to znowu o tyle tylko, o ile w grę wchodzi prawa religji i Kościoła. Zależność taka dla każdego stronnictwa katolickiego rozumie się sama przez się, jeżeli stronnictwo takie ma wogóle nie zaprzeczyć siebie samego i nie stracić racji swego bytu jako osobne stronnictwo. Przecież katolicy, jeżeli w życiu politycznem jednoczą się w osobne stronnictwo, czynią to w tym celu, żeby mogli bronić dóbr swej religji i uprawiać politykę według jej zasad. We wszystkich innych sprawach, czyli w sprawach czysto świeckich, stronnictwa katolickie są tak samo niezależne i samodzielne, jak organizacje liberalne i socjalistyczne.

5. Powiedzieliśmy, że katolik i polityk katolicki w sprawach czysto doczesnych jest całkowicie niezależny od Kościoła katolickiego. Teraz winniśmy słowa te wyjaśnić bliżej i powiedzieć, że dotyczą one działalności politycznej co do jej *przedmiotu*, czyli *rodzaju* (ex sua specie, i. e. in abstracto).

Czy to samo należy powiedzieć, gdy na tę działalność, co do swego przedmiotu czysto świecką, spojrzemy in concreto (w pojedynczych przypadkach), to zależy od tego, jaka będzie odpowiedź na nierozstrzygnięte dotąd pytanie, czy istnieją in concreto czyny etycznie obojętne, lub nie.

Jeżeli może zająć wypadek, żeby jakaś czynność była obojętną etycznie nie tylko co do przedmiotu, lecz także co do intencji i towarzyszących okoliczności, wówczas działalność czysto polityczna może być pod każdym względem niezależna od prawa moralności. Wówczas działalność czysto polityczna z etyką styka się w sposób czysto negatywny, mianowicie o tyle, o ile katolik działający na terenie politycznym, jak każdy inny człowiek, ma oczywisty obowiązek nie popełnienia przynajmniej grzechu przy zajmowaniu się sprawami czysto świeckimi.

Atoli większość teologów przyjmuje, że in concreto niema czynów pod względem etycznym obojętnych, lecz są tylko czyny albo moralnie dobre, albo moralnie złe. Wobec takiego zapatrywania polityk i każdy katolicki działacz polityczny, zajmując się sprawami czysto świeckimi, z prawem moralnem styka się wręcz pozytywnie, o tyle mianowicie, o ile — narówni z każdym innym człowiekiem — jest obowiązany działać zawsze zgodnie

z nakazami moralności, bez względu na to, jakiej czynności się oddaje. A choćby dana czynność i była obojętną pod względem etycznym co do przedmiotu i towarzyszących jej okoliczności, to przecież przynajmniej *intencja*, w której się podejmuje danej działalności czysto politycznej, zawsze musi być moralnie dobra. Otóż prawo moralne nakłada na politycznego działacza katolickiego, jak zresztą na każdego innego człowieka, ten obowiązek, żeby się powodował dobrą intencją nawet w najbardziej świeckiej działalności; to samo prawo moralne mówi mu też, które intencje są złe, a które dobre, a Kościół katolicki, będąc stróżem moralności, jest po to ustanowiony, żeby orzekał, czy działacz katolicki spełnił przepisane w tym względzie warunki, lub nie. Prawo takiego orzekania przysługuje Kościołowi z całą pewnością *in foro interno*, w zakresie sumienia; wszak każdy katolik, więc także działacz polityczny, w Sakramencie Pokuty musi się oskarżyć ze wszystkich ciężkich grzechów, choćby je popełnił w działalności jak najbardziej ziemskiej, lub najbardziej świeckiej. Do zewnętrznego zakresu prawnego, czyli do forum *externum*, takie czynności ziemskie, skażone grzechem, wchodzi tylko wówczas, jeżeli przez nie w sposób ciężki zostało zagrożone ogólne dobro Kościoła; czy i kiedy taki wypadek może zająć, w to się tutaj nie wdajemy.

Obowiązek postępowania zgodnie z prawem moralnem nawet przy działalności najbardziej świeckiej, nie ogranicza się tylko do polityków, lecz spoczywa na wszystkich ludziach bez wyjątku i krępuje ich swobodę. Skutek tego obowiązku nie na tem polega, żeby przedmiot takiej działalności, to jest sprawy czysto świeckie, czyli czysto polityczne, miały pójść w zależność od Kościoła, lecz skutek tego obowiązku (działania etycznie) polega na tem, że zajmowanie się temi sprawami, czyli załatwianie ich, staje się pod względem moralnym bez zarzutu. Projekt budowy kolei lub szosy zawsze będzie sprawą czysto świecką, i Kościół, czyli religja, nigdy się w nią nie będzie wdawać. Żeby jednak zajmowanie się takim projektem było bez zarzutu pod względem moralnym, także intencja, z jaką polityk obcuje za jednym czy drugim projektem, musi być nienaganną pod względem moralnym, a okolicznościom, wśród których polityk oświadcza się za projektem, nikt nie powinien móc zarzucić

niczego ze stanowiska moralności. Bo jeżeliby polityk takie czy inne w tej sprawie stanowisko zajmował przez chęć zemsty, lub w zamiarze szkodenia pewnym miejscowościom, lub firmom, wówczas działalność jego stałaby się złą pod względem moralnym, nie dlatego, jakoby projekt budowy miał cokolwiek do czynienia z religią, lecz dlatego, ponieważ moralnie złą byłaby intencja polityka, obstającego za budową.

6. Dotychczasowe wywody pozwolą nam osądzić hasło, wywieszane nieraz właśnie przez dobrych i bardzo dobrych katolików. Hasło to tak brzmi: „Papież, biskupi i księża są od Boga ustanowionymi przywódcami katolików także w życiu publicznem, także w życiu politycznem“.

Czy zdanie to jest prawdziwe? Jest ono wprawdzie pocziwe i powiedziane w najlepszej wierze, ale zanadto ogólnikowe, przez co obok prawdy jest w niem zanadto dużo błędu i fałszu. Wystarczy odróżnić w niem pewne rzeczy, w sposób, który po tem, cośmy powiedzieli, będzie zgola łatwy i oczywisty, a zaraz sprawa się wyjaśni. Otóż papież, biskupi i księża są od Boga postanowionymi przywódcami katolików także w życiu publicznem, także w życiu politycznem, jeżeli chodzi o sprawy czysto religijne albo mieszane. W tem znaczeniu zdanie to jest z pewnością słuszne i prawdziwe. Ale błędem, całkiem błędem i mylnem staje się to zdanie wówczas, jeżeli ma wyrażać, że kler jest od Boga postanowionym przywódcą katolików także w sprawach czysto świeckich, czysto politycznych. Kler takim przywódcą ani *nie jest*, ani nim być *nie chce*; co więcej: byłoby to prawdziwem nie-szczęściem dla religii i Kościoła, gdyby kler zawsze i wszędzie na mocy swego stanu i urzędu występował jako przywódca w sprawach czysto politycznych. Toby bowiem wśród ludu wytworzyło mniemanie, jakoby Kościół był tem samem, co polityczne stronnictwo katolików, a mniemanie takie pociągnęłoby za sobą skutki jak najfatalniejsze. Życie polityczne jest to zawsze gołoledź, jest to zawsze kraina nieograniczonych możliwości i najjaskrawszych kontrastów. Stronnictwo polityczne, które dzięki jednemu świetnemu zwycięstwu przy wyborach stało się prawie wszechmocnem, przy następnych wyborach może ponieść haniebną klęskę i pójść w rozsypkę, a przywódcy polityczni, których masy wyborców dzisiaj

noszą na rękach, wiwatuja na ich cześć i ubóstwiają ich niemal, jutro przez tych samych wyborców mogą być opuszczeni, bo masy wyborców, to żywioł chwiejny, jak ten wiatr w polu; nie tylko pańska łaska na pstrym koniu jeździ, ale także łaska szerokich mas ludowych, jest nieobliczalna i niedaje żadnych gwarancyj. Byłoby nie-szczęściem, gdyby się los Kościoła chciało powierzyć zmiennym losom partji politycznej, albo zgola skojarzyć je na łaskę i nieszczęście, na śmierć i życie z losami stronnictwa politycznego; za wszystkie błędy na polu polityki musiałby pokutować Kościół, nie mówiąc już o tem, że w mniemaniu ludu religja i polityka stałyby się jedną i tą samą rzeczą.

7. Skoro zaś biskupi i księża nie są od Boga postanowionymi przywódcami w sprawach czysto politycznych, to wynika stąd, że katolicy nie muszą należeć do *tej samej* partji i nie muszą słuchać *tej samej* partji co duchowieństwo, ani też nie muszą mieć tych samych zapatrywań i przekonań politycznych, co kler. Coprawda, w sprawach czysto religijnych i kościelno-politycznych katolicy, o ile wogóle jeszcze chcą być i pozostać katolikami, muszą iść za głosem kleru, ale w sprawach czysto świeckich, czysto politycznych mają całkowitą swobodę.

Co się tyczy przynależności do partji, to zarówno księża, jak i ludzie świeccy mają obowiązek należenia tylko do takiej partji, która staje w obozie praw Kościoła. Jeżeli takich partyj politycznych jest więcej, to każdy katolik może przystać do każdej z nich, wedle swej woli. Jeżeli natomiast gdzieś jest tylko jedno takie stronnictwo, które broni praw Kościoła, wówczas księża i katolicy świeccy z konieczności muszą przystać do tego jednego stronnictwa.

V.

Religja a udział w życiu politycznem.

O ile religja ma cokolwiek do czynienia z polityką, o tyle też już jest gotowa odpowiedź na pytanie, czy katolik ma brać udział w życiu politycznem, lub nie.

Powiadam więc:

Katolik ma nie tylko prawo, ale także obowiązek, i to zarówno obowiązek obywatelski, jak i obowiązek sumienia, brania udziału w życiu politycznem.

Zapewne, dopóki polityka była sprawą panującego i jego doradców, a lud nie miał na to żadnego wpływu, dopóty nie mogło też być mowy o obowiązku brania udziału w życiu politycznem, bo „ad impossibile nemo tenetur“, nikogo nie można zobowiązywać do rzeczy niemożliwych.

Odkąd jednak we wszystkich niemal państwach lud przez swoich posłów ma decydujący wpływ na ukształtowanie się polityki, odkąd w wielu państwach istnieje republikańska forma rządów, odkąd zaprowadzono powszechne prawo głosowania i pełnia władzy państwowej faktycznie spoczywa w ręku ludu, który ją wykonuje przez posłów i przez rząd, ustanowiony za sprawą posłów, odtąd udział katolików w życiu politycznem należy nazwać obowiązkiem ich sumienia. Dlaczego?

Nie mówię teraz o przyczynach politycznych, gospodarczych, finansowych i społecznych, które sprawiają, że katolicy powinni brać udział w życiu politycznem. Chcę przytoczyć jedynie powody religijne.

1. Na pierwszym miejscu wymieniam dobro Kościoła i katolików samych.

Trzeba się tylko zastanowić, co by z tego wyniknęło, gdyby się katolicy zupełnie odsunęli od życia politycznego. Znaczyłoby to, że katolicy władzę w państwie albo przynajmniej jej wykonanie zostawiają tym, którzy albo wcale nie są katolikami, albo są nimi tylko z imienia i z metryki, a nie z przekonania i z czynów. Znaczyłoby to dalej, że katolicy całe ustawodawstwo zostawiają wrogom katolicyzmu, albo takim, co się wcale nie interesują Kościołem; że katolicy rezygnują z ustaw, mających bronić religii i instytucyj religijnych, albo też uchwalanie takich ustaw zostawiają do woli własnych wrogów; że katolicy bez walki wrogom swoim dają możność zabezpieczenia sobie wszystkich korzyści politycznych, gospodarczych, finansowych (ustawy podatkowe) i społecznych, i pozwalają, żeby wszystkie ciężary pod tym względem zwalono na barki katolików; że katolicy bez walki zgadzają się na to, iżby ich wrogowie swoimi ludźmi obsadzali wszystkie posady rządowe, urzędnicze i szkolne, i pozwalają dobrodusznie i potulnie, żeby od tych posad wykluczono katolików i ich dzieci.

Jakież z tego wynikną skutki? Takie, że Kościół zostanie bez opieki, że nie będzie nikogo, kto by bronił

jego praw, jego wolności i jego własności, że się nikt nie ujmie za moralnością publiczną, że zgorszenie bezwstydnie będzie się panoszyć publicznie, że w szkołach wyższych i niższych wolno będzie publicznie zwalczać religję i moralność i deptać je nogami, że pod opiekunictwem skrzydłami państwa będzie wzrastać pokolenie bez Boga i bez etyki. Katolicy sami spadną do rzędu obywateli drugiej klasy, o ile nie zostaną zepchnięci do rzędu parjasów i helotów, będą ubożać, nie będą mogli dorobić się niczego, będą mieli zamknięty dostęp do urzędów państwowych i innych posad, a kto do nich przystanie, będzie człowiekiem straconym pod względem społecznym i gospodarczym, albo poniesie znaczne szkody. Kto więc będzie chciał w życiu pójść naprzód, kto się będzie chciał czego dorobić, zabezpieczyć przyszłość sobie i rodzinie, dostać się na jakiś urząd, zdobyć jakiś posterunek, wznieść się nieco wyżej na drabinie społecznej, ten będzie musiał albo wyrzec się religii katolickiej, albo przynajmniej na zewnątrz postępować tak, jak gdyby nie był katolikiem.

Kto się nad tem wszystkiem zastanowi, ten musi przyznać, że już sam instynkt samozachowawczy i najzwyczajniejsza i naleyście pojęta miłość własna, zwłaszcza zaś miłość Kościoła i jego instytucyj nakłada na katolików obowiązek energicznego udziału w ruchu politycznym, a zabrania im bezczynnego przypatrywania się temu, co się dzieje w życiu politycznym.

2. Pytam się dalej: Czy katolik ma obowiązek stawać w obronie Kościoła i ujmować się za nim, przynajmniej wtedy, gdy Kościół jest zaczepiony?

Kto jest katolikiem, ten na to pytanie może odpowiedzieć jedynie głośnem: Tak! Otóż faktem jest, że od dzieśiątek lat istnieją pewne stronnictwa polityczne, które Kościołowi wypowiedziały najzaciętszą walkę i chcą go pozbawić praw, wolności i własności. Zwłaszcza zaś od chwili przewrotu powojennego walka religijna przybrała formy takie, że we wielu krajach chce się wytepścić chrześcijaństwo i zniszczyć Kościół. Wystarczy wskazać na rządy „rad“ na Węgrzech, na ohydne gwałty rządu bolszewickiego w Rosji, na wołające o pomstę do nieba i przeczące wszelkiej cywilizacji zbrodnie w Meksyku, gdzie między obecnym rządem a katolikami rozgorzała walka na śmierć i życie.

Niech nikt nie mówi: O, to się dzieje bardzo daleko od nas; u nas do tego nie przyjdzie! Nie wolno się bowiem ludzi, gdyż pewne partie z pewnością mają apetyty po temu. Albo czy nawet w katolickiej Austrii nie padły osławione słowa: „Z katolikami trzeba się rozmówić po meksykańsku!”? Pozwólmy tylko partjom tym porósć w pierze i dopuśćmy do tego, żeby one chwyciły władzę w państwie w swoje ręce, a zobaczymy wnet, że nas spotka ten sam los, który spotkał katolików w Rosji, na Węgrzech i w Meksyku. A partie te porosną w pierze i sięgną po władzę w państwie, jeżeli my katolicy usuniemy się od życia politycznego i pozwolimy, żeby stosunki układały się tak, jak się to niektórym ludziom podoba.

Komu więc zależy na tem, żeby Kościół istniał w pojedynczych krajach, ten musi stanąć w obronie Kościoła. A jakże to katolik może się stać obrońcą Kościoła?

My nie możemy chwytać za karabiny i rewolwery, i nie możemy z bronią w rękę zgniebić wrogów religii lub wystrzelać ich. To byłoby morderstwem, a morderstwem nikt się tak nie brzydzi, jak Kościół. My mamy tylko jedną broń i jedną obronę, która na tem polega, żeby wszystko, co jest katolickie i myśli po katolicku, zrzeszyło się w wielkiem politycznem stronnictwie, korzystało z prawa wyborczego i z kartką wyborczą w rękę głosiło tylko na takich posłów, którzyby jako wierni synowie Kościoła z niezachwianą siłą w ciałach ustawodawczych stawali w obronie praw religii. O takiej zaś obronie mowy być nie może, dopóki katolicy, i to wszyscy katolicy, nie zaczną brać udziału, i to jak *najżywszego* udziału w życiu politycznem. A skoro taka obrona Kościoła jest obowiązkiem *religijnym*, przeto udział w życiu politycznem jest również obowiązkiem religijnym.

3. A teraz pytam się znowu: Czy katolik — mężczyzna i kobieta — na mocy religii jest obowiązany stawać w obronie małżeństwa chrześcijańskiego, chrześcijańskiego wychowania dzieci, chrześcijańskiej szkoły, życia dzieci jeszcze nie urodzonych i t. d.? Między katolikami na to pytanie może być tylko jedna odpowiedź, mianowicie: Tak! Skoro zaś tak, to trzeba wziąć udział w życiu politycznem, trzeba ludzi oświecać, pouczać, agitować, trzeba skupiać wszystko, co jeszcze jest katolickie, i co jeszcze myśli i czuje po katolicku, skupiać w wielkiem

politycznem stronnictwie katolików, i z kartką wyboreczą w ręku bronić świętości małżeństwa, świętości rodziny, wychowania dzieci, nietykalności niewydanego jeszcze na świat życia pod sercem matek. Wiadomo przecież, że właśnie te urządzenia religii chrześcijańskiej są dzisiaj przedmiotem napaści dzikiego fanatyzmu, i że niektóre pisma, gdy występują przeciw tym świętościom naszej religii, czynią nieraz wrażenie, jak gdyby ich redaktorzy dostali ostrego szału. Usuwać się od obrony tych dóbr, lub stać na uboczu, to nietylko równałoby się tchórzostwu i zaniedbaniu obowiązku, lecz byłoby zdradą najświętszych interesów. Jakże to bowiem Pius XI. w dniu 30. września 1926 r. odezwał się do członków katolickiego stowarzyszenia mężczyzn w Italji? „Dobro ogółu, czyli (z grecka) „polis“, obchodzi państwo, naród, społeczeństwo w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Jakżeby kto mógł pozostać obojętnym dla tych spraw, które są sprawami największemi i najważniejszymi, sprawami, wobec których miłość bliźniego nakłada najcięższe obowiązki, sprawami, w których chodzi o dobra najwyższe, jakich nam użyczył Bóg, sprawami, które rozstrzygają o losach rodziny, o losie jednostek, a nawet o interesach religji“¹⁾. — Tak mówił Ojciec św. Pius XI.

4. I jeszcze jedno! Czy katolik ma obowiązek starać się o to, żeby naszemu ludowi katolickiemu zachowana została wiara i moralność, i żeby wedle możliwości oddalono wszystko, coby wiarę i moralność mogło narazić na szwank? Jeżeli nie może zachodzić wątpliwość, iż na to pytanie trzeba i można odpowiedzieć jedynie stanowczo „tak“, wówczas udział w życiu politycznem jest obowiązkiem sumienia, i to obowiązkiem ciężkim i wielkim. Żeby się o tem przekonać, wystarczy powiedzieć sobie, że od kilkudziesięciu lat pewne partje, stowarzyszenia i organizacje głoszą takie zapatrywania, które musiałyby zatruć wszelkie życie religijno-moralne ludu, jeżeliby zapanowały w szerokich masach tego ludu. Proszę tylko pomyśleć o światopoglądzie liberalizmu, socjalnej demokracji, komunizmu, wolnej myśli i t. d. Przecież już dzisiaj mamy niejednokrotnie sposobność przekonać się, jakie to owoce dojrzewają w kołach, do których już wtar-

¹⁾ Podług tekstu, ogłoszonego przez „Schweizerische Kirchenztg.“ 1927, Nr. 2, str. 11.

gnęły owe zapatrywania. Czyż bowiem nie jesteśmy zmuszeni stwierdzić z największym bólem, że w czasie bardzo krótkim z katolików wyrastają skończeni poganie, którzy w niczem nie są lepsi od pogan starożytnych, a nawet w zepsuciu im dorównują? Czyż nie widzimy, że tam, gdzie partje lub organizacje antyreligijne mogą bezkarne i bez przeszkód rozwijać swoją krecią i demagogiczną działalność, miejscowości i okolice katolickie zamieniają się w okolice pogańskie, i jakby w tereny misyjne, do których już często kapłan nie ma żadnego przystępu?

Pomyślmy tylko gruntownie i zastanówmy się dobrze nad tem, co by się stało, gdybyśmy my katolicy usunęli się zupełnie od życia politycznego, czy to z zasady, czy też z powodu rozczłosczenia, rozgoryczenia, lub pod wpływem zniechęcenia. Tylko bezgraniczna naiwność mogłaby przypuszczać, że stosunki polityczne w takim razie same ułożą się tak, jak być powinny.

A, gdyby to wszyscy obywatele byli dobrymi katolikami, i gdyby w nich nie pokutował stary Adam, lecz żyła w nich rajska niewinność! Wówczas takie zamki w powietrzu możeby się same zbudowały! Dopóki jednak obywatelami państwa są ludzie ze wszelakimi namiętnościami, i dopóki istnieją partje i organizacje antyreligijne, dopóty hasło, które mówi: „Wycofać się z życia politycznego, i usunąć się do zacisznej izdebki, do cichego kościoła!“ będzie jedynie wyrazem niepojętej krótkowzroczności i katastrofalnego zaślepienia, choćby je kto wygłaszał w najlepszej wierze.

Niektórzy obiecują sobie, że jeżeli się katolicy usuną od życia politycznego, to stosunki polityczne same ułożą się tak, jak należy; a przecież na palcach każdy może wyliczyć skutki takiego wycofania się katolików z życia politycznego.

Jeżeli katolików zabraknie w życiu politycznym, wówczas kierownictwo polityczne ludu od katolików i przyciągną ich przejdzie w ręce wrogów katolicyzmu; wówczas partje antyreligijne będą miały drogę otwartą, żeby bez walki i bez przeszkód przeprowadzić cały swój program, nawet co do tych punktów, które są skierowane przeciwko wierze i przeciwko boskiemu prawu moralności, przeciwko Kościołowi i jego instytucjom; żeby zaś dzieło zniszczenia mogło być przeprowadzone tem łatwiej

i gruntowniej, my katolicy, gdybyśmy się usunęli z życia politycznego, nie tylkośmy pozwolili owym partjom, żeby pod ochroną nowoczesnej wolności drukowanego i żywego słowa, oraz wolności stowarzyszania się i zebrań, bez przeszkód uprawiały swoją krecią robotę antyreligijną, lecz w dodatku oddalibyśmy w ich ręce cały aparat państwowy na ten cel, zrezygnowalibyśmy na ich korzyść z ciał ustawodawczych, z instytucyj sądowych i z organów wykonawczych; jednym słowem: my katolicy oddalibyśmy siebie samych i nasz Kościół święty w ręce wrogów religii, na ich łaskę i niełaskę, a w dodatku całkiem dobrowolnie wydalibyśmy w ich ręce wszystkie środki władzy i siły, żeby mogli spuścić na nas i na Kościół wszystkie okropności kulturkampfu, a nawet prawdziwego prześladowania chrześcijan. Jeżeliby mi kto powiedział, że to nieprawda, iżby katolicy w ten sposób na siebie samych kręcili stryczek i własnych hodowali katów i burzycieli Kościoła, to już nie wiedziałbym, co mu na to odpowiedzieć. Naród, który napadnięty przez zabórzczych sąsiadów nie umie, albo nie potrafi zerwać się do obrony, musi się dostać do niewoli, a nawet może przestać istnieć; tak samo — biorąc rzecz po ludzku — musi zginąć wiara katolicka i moralność chrześcijańska w narodzie, jeżeli partje wrogie religii podkopują te najdroższe skarby narodu, a katolicy nie organizują obrony, lecz bez walki opuszczają pole walki i dopuszczają do tego, żeby na nich i na naród przyszło bankructwo religijno-moralne. Gdybyśmy czekali, aż Pan Bóg w sposób cudowny przyjdzie z pomocą i nie dopuści do ostateczności, a samibyśmy założyli ręce w bezczynności i gnuśności, tobyśmy popelnili grzech, który się w katechizmie nazywa grzechem kuszenia Pana Boga. *Najpierw sami musimy robić to, na co nas stać*, a modlić się o to, na co nas nie stać; dopiero wtedy możemy mieć pewność, że Bóg zrobi to, czego my zrobić nie potrafimy.

Dlatego żadne znużenie, żadna niechęć, żadne rozgoryczenie, ani żadne rozczarowanie nie może pozwolić katolikom, by się całkiem wycofali z życia politycznego. Hasłem katolików powinno być: nie mniejszy, lecz większy udział w życiu politycznem, ale nie dla ambicji lub dla zysku, nie po to jedynie, żeby się dorwać mandatu i dyjet poselskich, lecz udział w życiu politycznem w czystej intencji, z poczucia obowiązku, dla sumienia, dla

religji, ponieważ tego wymaga dobro państwa i Kościoła, ponieważ trzeba bronić najświętszych dóbr ludu.

VI.

Religia i przynależność partyjna w ogólności.

Skoro religja niejedno ma do czynienia z polityką, to musi ona zabrać głos w sprawie przystępowania do stronnictwa politycznego lub do organizacji. Do jakiej partji lub organizacji politycznej wolno katolikowi wstąpić, zapisać się, należeć, a do jakiej nie, to zależy w zupełności od tego, jakie stanowisko dana partja lub dane stowarzyszenie zajmuje wobec religji. A podług czego należy osądzać stanowisko partji, organizacji, związku do religji? Przedewszystkiem podług programu partji, podług statutów czyli ustaw organizacji. Co bowiem stronnictwo czyni stronnictwem czyli partją, co na organizacji wyciska właściwe piętno, co jest jej racją bytu, to jest wyrażone w celu, który sobie stawia partja lub organizacja, a to jest ujęte w paragrafy *programu*, lub w *statuty* organizacji, czy ona się nazywa tak, lub owak. Dlatego o stanowisku danej partji lub organizacji wobec religji należy sądzić *przedewszystkiem* według programu. Powiadam: „*przedewszystkiem*“, a nie mówię: „*wyłącznie*“. Bo oprócz tego dużo zależy od tego, *jak się wobec religji i Kościoła faktycznie zachowują przywódcy partji, członkowie partji i prasa partyjna*, a to nie tylko tu i ówdzie, lecz z *reguly*. Jeżeli kierownictwo partji i prasa partyjna trzyma się programu, wówczas faktyczne stanowisko partji wobec religji będzie odpowiadało wytycznym zdaniom programu. Może się jednak bardzo łatwo zdarzyć, że program o stanowisku partji lub organizacji wobec religji albo nie mówi nic, albo wyraża się niedokładnie, za pomocą frazesów lub dwuznacznie; w takich razach faktyczne zwykle zachowanie się przywódców, członków i organów prasowych w sprawach religijnych będzie znakiem, po którym poznamy ducha, jakim jest ożywiona partja lub organizacja. Dlatego, gdy trzeba wyrobić sobie zdanie o stosunku jakiejś partji albo jakiegoś związku i t. d. do religji, należy wziąć pod uwagę nie tylko program partyjny, lecz także faktyczne zachowanie się czynników partyjnych.

Ściśle mówiąc, partja lub organizacja wobec religji i Kościoła może zajmować stanowisko trojakiego rodzaju: albo obstaje za Kościołem i jego prawami i uznaje powagę Kościoła w tych wszystkich sprawach, w których należy słuchać Kościoła — wówczas mamy partję wyraźnie katolicką, sprzyjającą religji; albo też partja wogóle nie ogląda się na kwestje religijno-moralne, i ani nie obstaje za Kościołem i jego interesami, ani też ich nie zwalcza — wówczas będzie to t. zw. partja lub organizacja neutralna, czysto polityczna, czysto gospodarcza; albo wreszcie partja zwalcza Kościół i religję, a wtedy mamy do czynienia z partją wyraźnie antyreligijną.

Jeżeli będziemy mieć przed oczyma te różne wypadki, wówczas bez trudności zdołamy powiedzieć, jak się urządzać według przepisów religji z przystąpieniem do jakiejś partji lub organizacji politycznej.

1. Pierwszą zasadą jest, że Kościół ma prawo zbadać, czy program jakiejś partji, czy statuty jakiejś organizacji sprzeciwiają się katolickiej nauce wiary i obyczajów, prawu bożemu czy kościelnemu, lub nie.

Kościół nie potrafiłby przecież spełnić powierzonego sobie od Chrystusa zadania, gdyby nie miał prawa i zdolności badania programów partyjnych i statutów organizacyjnych co do ich strony religijno-moralnej i wydawania w tej sprawie wyroków, obowiązujących katolików w sumieniu; zadanie Kościoła polega wszak na tem, żeby strzegł skarbu wiary (depositum fidei) od wszelkiego błędu; nie mógłby też Kościół wiernych pewnie prowadzić do zbawienia, gdyby musiał spokojnie i bezczynnie przypatrywać się, jak partje lub związki antyreligijne podkopują wiarę i obyczaje ludu katolickiego.

Jak ma prawo Kościół badać książki i pisma, czy nie zawierają błędów co do nauki wiary i obyczajów, i jak zależnie od wyników tego badania może wiernym zakazać czytania takich pism, tak też ma prawo Kościół badania programów partyjnych i statutów partyjnych i w razie potrzeby zakazać wiernym przystępowania do takich organizacji.

2. Z chwilą jak Kościół orzekł, że jakaś nauka, jakiś system, jakiś światopogląd, lub jakaś organizacja sprzeciwia się nauce wiary lub obyczajów, prawu Bożemu lub kościelnemu, katolicy w sumieniu obowiązani są przez

posłuszeństwo, odrzucić takie nauki i zapatrywania, i konsekwentnie trzymać się zdaleka od tych wszystkich partyj i organizacyj, które się opierają na takich przez Kościół potępionych naukach, i nauki te starają się rozszerzać.

Kościół w tej mierze wydał już orzeczenia, np. o systemie liberalizmu, o organizacjach masonów, karbonaryzów, nihilistów i anarchistów. Katolik więc, jak nie może być członkiem loży wolnomularskiej, ani organizacji nihilistycznej czy anarchistycznej, jeżeli nie chce popełnić ciężkiego grzechu i ściągnąć na siebie kar kościelnych, ustanowionych za należenie do takich związków, tak też nie może wyznawać zasad liberalizmu, socjalizmu i komunizmu, jeżeli nie chce zgrzeszyć przeciwko wierze katolickiej. Skoro zaś nie wolno mu wyznawać zasad tych systemów potępionych przez Kościół, to konsekwentnie nie może on też przystać na członka partyj czy organizacyj, które bronią zapatrywań i obstają za żądaniami tych właśnie potępionych systemów i starają się je urzeczywistnić.

3. Choćby jednak co do jakiej partji czy organizacji Kościół urzędowo nic nie orzekł, to i tak należenie do takich związków staje się niedozwolone z chwilą, jak się okaże ich charakter antyreligijny. Rozumie się bowiem samo przez się, że żaden katolik nie może należeć do żadnej partji lub organizacji, która zwalcza katolicką naukę wiary i obyczajów oraz prawo Boże i kościelne. Powiadam, że się to rozumie samo przez się. Skoro bowiem katolik obowiązany jest wyznawać swoją wiarę i bronić jej, skoro obowiązany jest żyć według przepisów swej wiary, to nie może mu być równocześnie dozwolone zwalczanie i podkopywanie tejże wiary i tejże nauki moralności. A to właśnie czyni katolik taki, który przystaje do stronnictwa wrogiego religji. Przystępując bowiem do niego jako członek, i wzmacniając jego szeregi, płacąc wkładki i oddając partji swój głos, pomaga on jej w walce przeciwko wierze i obyczajności, a nawet sam bierze udział w tej walce i staje się współwinowajcą wszystkich spustoszeń, które taka partja antyreligijna sprawia w dziedzinie religji.

Ale bo też pod tym względem sprawdza się znowu, po raz niewiadomo który, znane słowo Chrystusowe, że nie można dwom panom służyć. Nie można być w życiu prywatnem katolikiem, a w życiu publicznem maszero-

wać w jednym szeregu z wrogami katolików, nie można w domu być *za* Chrystusem, a poza domem *przeciwko* Chrystusowi, nie można wewnątrz czterech ścian swego mieszkania żyć jako chrześcijanin, a poza temi ścianami występować jako poganin, nie można kolana zginać równocześnie przed Bogiem i przed Baalem, a kto jednak tak czyni, ten, czy chce czy nie chce, staje się Judaszem, zdrajcą Tego, który powiedział: „Kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest“ (Mat. 12, 30), i: „Któryby się Mnie zaparł przed ludźmi, zaprę się go i Ja przed Ojcem Moim, który jest w niebiesiech“ (Mat. 10, 33).

4. Może się co prawda przytrafić, że ktoś pod wpływem teroru znajdzie się w położeniu przymusowym tak, że musi przystać do organizacji antyreligijnej. Wszak do-czekaliśmy się już tego, że katolicy robotnicy i katolickie robotnice poprostu nie miały innego wyjścia, jak to: albo się zapisać do czerwonej zawodówki, albo być wydalonym z pracy i zostać pozbawionym zarobku. W takich wypadkach, gdzie steroryzowany, gdyby nie przystał do organizacji, byłby narażony na ciężkie straty materialne dla siebie i swej rodziny, albo zgola na nędzę, chrześcijańska nauka moralności zezwala na przystanie do danej partji, ale tylko pod następującemi warunkami:

a) Pierwszym warunkiem jest, żeby przystąpienie było *tylko zewnętrzne*, nigdy zaś zarazem wewnętrzne, czyli, żeby steroryzowany nie przyjmował sercem, ani nie uznawał programu antyreligijnego, lub antykościelnych statutów i nie godził się na nie. Co do przyjęcia zapa-trywań i żądań antyreligijnych, sprzecznych z wiarą, nie może zachodzić żaden terror i takiego teroru niema, bo wewnętrzne przekonania nie dadzą się wymusić.

b) Drugi warunek jest ten, żeby czysto zewnętrzna przynależność do partji lub organizacji antyreligijnej trwała *tylko dopóty, dopóki* zachodzi *położenie przymusowe*; z chwilą gdy albo terror ustanie, albo można się od niego uwolnić, musi także ustać czysto zewnętrzne członkostwo, skoro odpadł jedyny powód, który sprawiał, że należenie do partji było moralnie dozwolone.

c) Trzeci warunek na tem polega, żeby uczynić wszystko, co jest możliwe, aby ten, co pod terorem przystąpił do antyreligijnej partji lub organizacji, z powodu czasowego i czysto zewnętrznego należenia do niej *nie poniósł szkody na wierze i obyczajach*. Musi on więc uni-

kać wszystkiego, co by mogło zachwiać jego wiarą, podkopać jego moralność. Nie wolno mu więc trzymać pism antyreligijnych i przeciwnych moralności chrześcijańskiej, pism partyjnych lub organizacyjnych, a jeżeli by mu takie pisma lub gazety gwałtem narzucono, to nie wolno mu ich czytać, ani podawać drugim do czytania; nie wolno mu uczęszczać na zebrania o charakterze antyreligijnym, a gdyby go do tego zmuszano, to powinien on zabezpieczyć się od niebezpieczeństwa grożącego wierze, dbając o odpowiednie dalsze kształcenie się we wierze¹⁾).

Poza tym wypadkiem konieczności i przymusu żadnemu katolikowi nie wolno być członkiem organizacji, wrogiej dla religii.

5. Czy jednak nie możnaby się przynajmniej zewnętrznie przyłączyć do jakiejś organizacji czysto politycznej, czysto gospodarczej, która pod względem religijnym jest neutralna i w sprawach wiary zachowuje się obojętnie?

Wobec tego rodzaju organizacji trzeba się przede wszystkim mieć bardzo na baczności, bo zbyt często nie są one tem, za co się podają, i nie dotrzymują tego, co oznacza ich nazwa i co obiecuje; nierazko później okazuje się, że są to tylko jakby kadry i pola przygotowawcze partyj liberalnych lub socjalistycznych. W takim razie oczywiście dobrowolnie do nich wstępować nie wolno.

Przypuściwszy jednak, że chodzi naprawdę o organizacje, które mają cele rzeczywiście czysto gospodarcze

¹⁾ Ze pod wymienionymi warunkami można tolerować czysto zewnętrzne pozostawanie w organizacji antyreligijnej, wolno wnioskować z orzeczenia Św. Officium z dnia 19. stycznia 1896 r. (Archiv f. kath. Kirchenrecht, tom 76. str. 303). Na pytanie bowiem, czy katolik, który w dobrej wierze przystąpił do organizacji potępionej przez Kościół, może się zgodzić, żeby jego imię figurowało w liście członków, i czy może w dalszym ciągu płacić wkładkę członkowską, odpowiadano że *na ogół* jest to wprawdzie zakazane, można to jednak tolerować, jeżeli zachodzą następujące okoliczności:

a) jeżeli kto przystał do organizacji w dobrej wierze, czyli w mniemaniu, że to dozwolone;

b) jeżeli zapobiegł możliwemu zgorszeniu, oświadczając, że wkładki płaci tylko celem uniknięcia ciężkich szkód, że natomiast ustają wszelkie inne stosunki z organizacją;

c) jeżeli przez wypisanie się byłby narażony na ciężkie straty dla siebie lub dla rodziny;

d) jeżeli nie zachodzi żadne niebezpieczeństwo dla wiary tak zapisanemu, jakoteż jego rodzinie.

lub czysto polityczne, a spraw religijnych nie tykają wcale, to i tak należy przestrzegać następujących zasad:

a) nieodzownym warunkiem, żeby katolik mógł zapiśać się do takich organizacji, jest to, żeby statuty organizacyjne przynajmniej nie zawierały nic takiego, co by się sprzeciwiało przepisom wiary katolickiej;

b) jeżeli ten warunek jest spełniony, wówczas katolik może wstąpić do takiej organizacji, która w sprawach religijnych jest przynajmniej neutralna, a jest organizacją *stanową* lub *zawodową*, aby mógł starać się o zaspokojenie słuszných interesów swego stanu lub zawodu. Gdzie jednak istnieją tego rodzaju organizacje katolickie lub chrześcijańskie, tam należy im dać pierwszeństwo przed organizacjami neutralnymi i dążyć wszelkimi sposobami do tego, żeby katolicy do nich wstępowali;

c) jeżeli natomiast chodzi o polityczne *stronnictwo dla całego państwa lub kraju*, którego cele obejmują tylko świeckie sprawy, a które nie chce się wcale starać o sprawy religijne, wówczas katolik *właściwie* nie może do niego należeć. Główną tego przyczyną jest to, że katolik obowiązany jest wedle możliwości dbać przedewszystkiem o interesy religijno-moralne społeczeństwa, a nie tylko o gospodarcze. Jeżeli więc katolik w życiu politycznym należy do stronnictwa neutralnego, czyli obojętnego, to całą swoją działalność polityczną wykonywa w tem stronnictwie, przez nie i przez jego posłów. Ci zaś, mając przed oczyma tylko sprawy gospodarcze, zaniedbują interesy religijne. Katolik więc, należący do takiego stronnictwa, musiałby w życiu politycznym zajmować taką postawę, że dbałby jedynie o sprawy świeckie i doczesne, a religijno-moralne zostawiłby na łasce losu. To zaś równałoby się u katolika z pewnością grubemu zaniedbaniu obowiązków w życiu publicznym. Wstąpienie więc do takiego stronnictwa *właściwie* nie może być dozwolone, bo to pociąga za sobą z konieczności ciężkie zaniedbanie obowiązków. Powiadam: *właściwie*. Gdyby bowiem gdzieś nie było wogóle żadnego stronnictwa, któreby się ujmoowało za sprawami religijno-moralnymi, a istniały tylko antyreligijne i pod względem religijnym neutralne partje, wówczas katolik mógłby, a nawet poniekąd musiałby wstąpić do partji neutralnej, żeby choć dopomóc do zażegnania większego zła.

6. Z tego, cośmy powiedzieli, wynika samo przez się, że katolik może należeć tylko do katolickiej partji, *katolickiej* przynajmniej w tem znaczeniu, że w życiu publicznem i w ciałach ustawodawczych staje ona w obrońnię praw i dóbr wiary katolickiej. Gdzie takich stronnictw katolickich lub chrześcijańskich jest więcej, tam katolik ma wolność wyboru i może należeć do każdego z nich; gdzie natomiast jest tylko *jedna* polityczna organizacja lub partja katolików, tam wszyscy, będący katolikami i pragnący działać po katolicku, muszą się znaleźć w szeregach tej jednej partji i ją tylko wspierać. Jeżeli zaś gdzieś niema żadnego stronnictwa katolickiego, wówczas katolik może wstąpić do partji pod względem religji neutralnej, a poniekąd winien to nawet uczynić, wówczas mianowicie, jeżeli się to okaże koniecznem dla odwrócenia od Kościoła i państwa większego nieszczęścia, jakęśmy to powyżej powiedzieli.

VII.

Religja a przynależność do partji socjalistycznej w szczególności.

Tu i ówdzie odzywają się dzisiaj głosy, że powinniśmy się jakoś inaczej odnosić do socjalnej demokracji, aniżeli to było dotąd; szczególnie pewne sfery we Wiedniu, kiedy tamtejsze wybory do Rady Narodowej w kwietniu 1927 r. wypadły tak fatalnie, podniosły takie żądanie i wszczęły dyskusję na ten temat. Mówi się, że katolicy, w szczególności zaś księża, powinni zająć inne stanowisko wobec socjalistów, jeżeli nie chcą, żeby Kościół utracił wszystkich robotników, organizowanych czerwono, i wogóle jeżeli ma nie dojść do upadku cywilizacji zachodniej; stanowisko, jakie wobec socjalistów zajmowała zarówno nauka kościelna, jak i praktyka, jest podobno całkiem chybione i mylne¹⁾. Na łamach przytoczonego czasopisma przeprowadzono nad tą sprawą długą dyskusję, w ciągu której odezwały się głosy, że Kościół, w szczególności zaś kler, powinien i może zaprzestać walki z socjalizmem, gdyż choć co prawda Kościół i ka-

¹⁾ „Der Seelsorger“ III, Nr 6, str. 181.

tolicyzm nie może się pogodzić ze *światopoglądem* socjalistycznym, to przecież z *partją* socjalistyczną pogodzić się może; przynajmniej możliwość ta istnieje, względnie trzeba szukać dróg i sposobów po temu.

Musiałbym zboczyć z tematu, gdybym chciał przytoczyć to wszystko, co w zacytowanym czasopiśmie powiedziano o nowem ustosunkowaniu się katolików, a zwłaszcza duchowieństwa katolickiego do socjalnej demokracji, i gdybym to chciał zbadać i roztrząsać, żeby prawdę oddzielić od fałszu. Ponieważ w niniejszych wywodach chodzi jedynie o to, żeby się dowiedzieć, co według prawideł etyki chrześcijańskiej należy sądzić o przystąpieniu do stronnictw i organizacji politycznych, i jak się katolik w tej sprawie ma zachować, przeto pod kątem widzenia ewentualnego nowego stosunku do socjalnej demokracji może chodzić jedynie o to, czy Kościół, a razem z Kościołem teologia moralna miała rację, gdy dotychczas orzekała, że katolikowi ze względów na przepisy moralności chrześcijańskiej nie wolno należeć do partji socjalistycznej, lub do organizacji socjalno-demokratycznej, albo też co do tego punktu powinna zrewidować swoje zapatrywanie.

Kapłan katolicki co do tej kwestji ani na chwilę nie może mieć wątpliwości.

Dopóki socjalna demokracja jest i pozostanie tem, czem była dotąd, dopóty grzech, i to grzech ściśle biorąc ciężki, popełnia ten, kto wstępuje do partji lub organizacji socjalistycznej, chyba, że zachodzi położenie przymusowe, o którym już powiedzieliśmy wyżej to, co trzeba było powiedzieć.

Zdanie to da się udowodnić z wszelką pewnością, jakiej tylko sobie życzyć można, bez względu na to, czy przez socjalną demokrację będziemy rozumieć *światopogląd* socjalistyczny, czy też *partję* socjalistyczną¹⁾.

¹⁾ Przez demokrację socjalną nie można rozumieć niczego innego, jak tylko światopogląd socjalistyczny, lub partję socjalistyczną. Byłoby oczywistym nonsensem, gdybyśmy tutaj przez socjalną demokrację rozumieli poprostu „bądź robotników, bądź stan robotniczy, bądź też proletarjat”. Po pierwsze bowiem nieprawdą jest, jakoby socjalna demokracja była tem samem, co robotnicy. Wprawdzie funkcjonariusze partji socjalistycznej i prasa socjalistyczna postępują i mówią tak, jakgdyby tylko oni byli przedstawicielami klasy pracującej, jakoby robotnicy znajdowali się tylko

1. Przedewszystkiem z góry jasną rzeczą jest, że *żaden katolik nie może przyjąć*

światopoglądu socjalnej demokracji,

jeżeli nie chce przestać być katolikiem; przyjęcie bowiem tego światopoglądu nie tylko równałoby się zupełnemu odpadnięciu od Kościoła i od chrześcijaństwa wogóle, lecz byłoby także przyznaniem się do skończonego niedowiarstwa, czyli do ateizmu.

Według ustawicznych zapewnień pisarzy socjalistycznych socjalizm proletarjacki wymyślony jest i zbudowany na podstawie t. zw. „materiaлистycznego pojmowania dziejów“, t. zn. na gruncie najbardziej prostackiego materiaлизму z tym dodatkiem, że każdorazowy stan kultury umysłowej danego narodu jest tylko oddźwiękiem i odzwierciedleniem stosunków gospodarczych danego okresu. Według tego światopoglądu istnieje tylko materja i ruch, a niema nic duchowego, nic wiecznego, nic niezmiennego; niema Boga, niema Trzech Osób w Bogu, niema Syna Bożego, który się stał człowiekiem, żeby nas odkupił, niema Opatrzności boskiej, niema odpowiedzialności przed Bogiem, niema ani nieba ani piekła, wogóle niema wieczności, więc też niema życia pozagrobowego, niema ciał zmar-

w ich partji, a poza nią nie było ich wcale, i jakoby tylko oni ujmowali się za robotnikami, a poza nimi już nikt inny nie stawał w obro- nie praw robotnika. Choćby się jednak nie wiedzieć jak gorliwie za- patrywanie to wmawiało w ludność, to ono i tak prawdziwem nie jest; są bowiem jeszcze inni robotnicy, a nie tylko ci, którzy należą do czerwonych organizacyj; wprawdzie ci nieczerwoni robotnicy dzia- siaj jeszcze stanowią mniejszość; poza partją socjalistyczną są jeszcze inne partje, które strzegą praw robotnika i dążą do przyznania mu jego słuszných praw. Wszak wielkie części ustawodawstwa socjalnego na korzyść robotników doszły do skutku bez demokracji socjalnej, a nawet wbrew niej. Trzeba tylko wyrazić głębokie ubolewanie, że także księża tak mówią i piszą, jakoby tylko socjaliści ujmowali się za robotnikami i jakoby robotnicy tylko socjalistom mieli do zawdzięczenia poprawę swego losu. Kto tak mówi i pisze, ten czy chce czy nie chce pomaga jedynie socjalistom w ich świadomem sugestjonowaniu szerokich mas ludności, więc pośrednio staje się naganiaczem socjalistycznym.

Pominąwszy jednak nawet tę okoliczność, socjalnej demokracji także dlatego nie wolno tutaj utożsamiać z robotnikami, ponieważ w takim razie pytanie, czy katolik może należeć do socjalnej demo- kracji, zamieniłoby się na inne pytanie, czyli na pytanie, czy katolik może należeć do stanu robotniczego i być robotnikiem, a pytanie to byłoby przecież tak naiwne, żeby nie zasługiwało wcale na od- powiedź.

twychwstania; dusza ludzka wszak nie jest ani duchowa, ani wolna, ani nieśmiertelna, lecz jest to tylko taka sobie funkcja, czyli suma czynności mózgu i systemu nerwowego, a człowiek jest tylko zwierzęciem ssącym, które potrafi chodzić prosto, a które powstaje i ginie tak samo, jak każde inne bydło. Że w tym systemie brak miejsca dla chrześcijaństwa i Kościoła z jego instytucjami, to rzecz jasna; wszak są to wszystko czysto ludzkie twory, a nie jakieś tam dzieła Boże, więc jest w nich akurat tyle prawdy, co we fetyszyzmie niektórych szczepów murzyńskich w Afryce. Zbyteczna nadmieniać osobno, że taki światopogląd zmiata nie tylko wiarę katolicką, lecz wogóle wszelką religię i głosi skończone niedowiarstwo.

Razem z religią przepada oczywiście także cała moralność i jako stara rupieć wędruje na śmietnisko: ze stanowiska materialistycznego pojmowania dziejów jest to naturalnie całkiem konsekwentne. Jeżeli bowiem niema Boga, to niema oczywiście żadnych *przykazań* boskich, ani żadnego *prawa* bożego, czy ono jest przyrodzone, czy też nadprzyrodzone; z tej samej przyczyny nie może też być mowy o *odpowiedzialności przed Bogiem*, o *sądzie boskim*, o nagrodzie lub karze poza grobem; tem samem zaś kończy się wszelkie prawo moralne. Z całej „moralności” czyli „etyki” pozostają najwyżej *prawidła* dobrego tonu, zwyczaje i obyczaje, przyzwyczajenie i nawyki, które są naturalnie tak samo zmienne, jak zmienny jest czas i zmienne są stosunki, wśród których ludzie żyją. Moralne wówczas jest to, co w danej chwili uchodzi za moralne, jak głosi Engels i Bebel, jak głoszą inni pisarze socjalistyczni.

Ma się rozumieć, że *kto się przyznaje do tego światopoglądu socjalistycznego, ten już nie jest katolikiem, lecz skończonym ateuszem i niedowiarkiem*. A choćby się jeszcze nazywał katolikiem i nosił przy sobie metrykę katolicką, to faktycznie nie jest on już członkiem Kościoła katolickiego, bo przez swoje niedowiarstwo sam się wykluczył z Kościoła. Słusznie tedy piszą biskupi holenderscy: „Katolik, który przyjął naukę anarchistów lub socjalistów i który wie, że to uczynił, nie może być dłużej uważany za członka Kościoła” (list pasterski z dnia 10. grudnia 1918 roku).

2. Tak samo jasnem jest, że *żaden katolik nie może dobrowolnie przystać do*

partji socjalistycznej,

jeżeli nie chce dopuścić się ciężkiego wykroczenia przeciwko swej wierze. Nigdy bowiem w świecie katolickim nie może być dozwolone należenie do stronnictwa, które jest wrogo usposobione do Kościoła; takim zaś stronnictwem bez najmniejszej wątpliwości jest właśnie socjalna demokracja, nawet jako organizacja polityczna; albowiem w niejednej sprawie zarówno jej program, jako też jej rzeczywiste zachowanie się jest sprzeczne z katolicką nauką wiary i obyczajów.

a) Katolik bezwarunkowo nie może się zgodzić już na stanowisko programu socjalnej demokracji wobec religii. Partyjne programy socjalnej demokracji wszystkich krajów zawierają osławione zdanie, że religja jest rzeczą prywatną. Jest to wierutny fałsz, choćby się to zdanie tłumaczyło nie wiedzieć jak i obracało niem na wszystkie strony.

Gdybyśmy zdanie to tłumaczyli sobie jak najłagodniej, to znaczyłoby ono, że partja socjalno-demokratyczna nie troszczy się o religję, że ją religja nic nie obchodzi, że się nie miesza w to, w co kto wierzy, że nie zagląda w niczyje sprawy religijne, że religji ani nie zaczepia, ani nie bierze w obronę. W najlepszym razie zdanie to należałoby określić mniej więcej w następujący sposób: „My socjaliści dbamy tylko o sprawy gospodarcze, polityczne i społeczne, a w stosunku do religji zachowujemy się całkiem obojętnie i nie jesteśmy wcale tem zainteresowani, czy kto wierzy tak lub inaczej; nas to nic nie obchodzi, czy kto ma religję lub nie; my w tej sprawie każdemu zostawiamy zupełną swobodę; my ani nie ujmujemy się za prawami religji, ani też ich nie zwalczamy“. Ale nawet w tej złagodzonej formie żaden katolik nie może uważać religji za sprawę prywatną, jeżeli nie chce sprzeniewierzyć się obowiązkom, jakie na niego nakłada wiara. Bo to byłoby owem stanowiskiem politycznem, według którego w życiu publicznem należy się starać jedynie o sprawy czysto ziemskie, a religijno-moralne bez opieki zostawić na łasce losu. Katolicy, choć na równi z resztą obywateli mają prawo w życiu politycznem zabiegać także około swoich interesów i korzyści *materjalnych*, mają przecież nie tylko takie samo, a nawet jeszcze większe prawo, lecz zarazem ścisły *obowiązek* stawiać

wszelkimi siłami w obronie praw *religijno-moralnych* ludu w życiu publicznem. Przeciwno temu obowiązкови, który nakłada religja katolicka, grzeszy jednak katolik, który w życiu politycznem obstaje tylko za interesami materialnemi, a interesy religijne zostawia bez opieki i nie ujmuje się za niemi.

Niestety jednak to hasło socjalnej demokracji, że religja jest rzeczą prywatną, tylko w okresie wyborów posiada takie „łagodne“ i nibyto „niewinne“ znaczenie, któreśmy określili powyżej. Faktycznie bowiem hasło to oznacza, że religja należy jedynie do dziedziny życia prywatnego każdego człowieka z osobna, ale do zakresu życia państwowego, lub wogóle publicznego nie należy wcale. Dlatego — jak chce program socjalistyczny — państwo i instytucje państwowe trzeba odsunąć od religji, przeprowadzić rozdział między państwem a religją, i zasadniczo domagać się rozdziału państwa, szkolnictwa i małżeństwa od Kościoła, i rozdział ten koniecznie przeprowadzić.

Oczywiście w tem znaczeniu żaden katolik nie może religji uważać za sprawę prywatną. Gdyby to uczynił, wówczas zgrzeszyłby bardzo ciężko przeciwko wierze, bo przyznawałby słusność tym, którzy mówią, że tylko *prywatne* życie powinno być *religijne*, życie *publiczne* natomiast należy urządzić *bez religji*, i że tylko *człowiek prywatny* powinien czcić Pana Boga i zachowywać przykazania boskie, a *państwo i społeczeństwo* tego obowiązku nie ma. Ci, co tak mówią, stoją na stanowisku niezgodnem zarówno z rozumem, jak z wiarą katolicką, nie mówiąc nawet o tem, że żaden katolik nie może domagać się rozdziału religji od państwa, od szkoły, od małżeństwa, ani też nie może dopomagać do tego, żeby ten rozdział został przeprowadzony, jeżeli nie chce, żeby powstał ciężki konflikt między nim a jego wiarą.

Jeżeli w końcu weźmiemy pod uwagę *faktyczne* zachowanie się socjalnej demokracji, wówczas przekonamy się, że to nieprawda, jakoby dla niej rzeczą prywatną było wyznanie religijne jej członków. Nie, religja członków partji dla socjalistów wcale nie jest obojętna! Tylko to prawdą jest, że skoro tylko trzeba zyskiwać ludzi dla partji lub zdobywać głosy przy wyborach wśród sfer religijnych, albo w okolicach religijnych, to socjaliści głoszą przed światem, że co do religji, to każdy u nich może

postępować jak mu się podoba, ale pocichu cieszą się nadzieją, że pozyskany dla partji towarzysz już tam obumrze dla swej religji, skoro tylko wejdzie w ich szeregi i przejmie się ich zapatrywaniami. O tej nadziei oczywiście nie mówi się nigdy głośno, ale ona żyje w sercach towarzyszków, bo do tego celu zmierza całe zachowanie się i postępowanie partji z tymi, którzy do niej przystali. Za pomocą gazet, dzienników, czasopism, kartek ulotnych, zebrań, kursów oświatowych, uniwersytetów robotniczych, przez stosunki z wolnomysłicielami, że związkami „przyjaciół dzieci“ i t. d. partja stara się podkopać wiarę w sercach towarzyszków, którzy jeszcze mają religję, a z jakim rezultatem, to nam pokazują dzień w dzień te sfery, w których socjalna demokracja mogła się krzewić bez przeszkód. Jeżeli partja socjalistyczna doprawdy, na serjo, uczciwie głosi hasło, że religja jest sprawą prywatną, to dlaczegoż w takim razie w ruchu partyjnym i w całej robocie partyjnej widzimy tyle wręcz piekielnej nienawiści religji? Czemu w takim razie partja całem swoim postępowaniem nie dowodzi, że dotrzymuje programowego przyrzeczenia, iż nie chce tykać religijnych przekonań towarzyszków? Czemuż to w takim razie ze sfer socjalistycznych tak często wychodzą odezwy, zachęcające do występowania z Kościoła, czemu odbywa się dzika nagonka do odpadania od wiary? Czemu wśród partji rozlegają się okrzyki radości i triumfu, ilekroć gazety donoszą, że znów większa liczba katolików zerwała z Kościołem? Choćby zresztą socjalna demokracja zaprzestała wprost walki z religją i uczciwie trzymała się tego, co mówi jej program w tym względzie, to i tak jeszcze nie wystarczyłoby to, żeby katolik mógł zajmować takie jej stanowisko, bo dla katolika religja nigdy nie może być sprawą czysto prywatną tylko.

b) Z tego zasadniczego stanowiska partji socjalistycznej wobec religji wynika szereg postulatów socjalistycznych, które znowu są przeciwne nauce Kościoła katolickiego i stanowią nieprzezwyciężoną przeszkodę dla katolika tak, że nie może on należeć do partji socjalnej demokracji.

Jako pierwszy z tych postulatów socjalistycznych wymieniam żądanie rozdziału Kościoła od państwa. Postulat ten sprzeciwia się woli Bożej co do stosunku Kościoła do państwa i został przez papieża niejednokrotnie odrzu-

cony. Rozdział Kościoła od państwa jest czemś złem, jest nieszcześcieniem, i tylko tam może być cierpiany i wprowadzony, gdzie to jest konieczne dla uniknięcia gorszych rzeczy. Żeby taka konieczność miała zachodzić w krajach katolickich, np. w Austrii, naprawdę trudno zrozumieć.

Jeszcze zgubniejszy jest drugi postulat programu socjalistycznego, czyli domaganie się, żeby przeprowadzono rozdział Kościoła od szkoły i wprowadzono szkołę czysto świecką, czyli bezreligijną, w którejby dzieci słyszały o wszystkim innem, tylko nie o Bogu i przykazaniach boskich, nie o Chrystusie Panu, jego nauce i środkach łaski, i w którejby je wychowywano jak małych pogan.

Na ten program socjalistyczny co do szkolnictwa katolik *bezwzględnie, niezmiennie i zawsze* jedną tylko może dać odpowiedź: *Nie!* Ktoby bowiem zgodził się na szkołę bezreligijną, ten dopuściłby się haniebnej zdrady najświętszych praw boskich, kościelnych i rodzicielskich, a nawet zdradziłby samą młodzież. *W tej sprawie dla katolika istnieje tylko obowiązek oporu do ostateczności.*

Tak samo nie do przyjęcia jest trzeci postulat socjalistyczny, wynikający ze zasady, jakoby religja była sprawą prywatną, mianowicie postulat małżeństwa czysto cywilnego i rozwodów: miejsce małżeństwa kościelnego miałyby zająć małżeństwo państwowe, a zamiast małżeństwa nierozzerwalnego miałyby się wprowadzić rozwody. To są żądania, które katolik mógłby przyswoić sobie jedynie za cenę wiary. Zawarcie bowiem małżeństwa jest sakramentem, a szafowanie sakramentami należy tylko do Kościoła, nie do państwa. Nadto nierozzerwalność małżeństwa, zawartego ważnie i niespełnionego, jest prawdą wiary, więc żaden katolik nie może przystać na coś przeciwnego, i nie może państwu przyznać prawa unieważnienia małżeństwa zawartego ważnie.

c) Partja socjalistyczna głosi nadto i domaga się pełnej równości prawa i warunków bytu dla wszystkich ludzi, także pod względem społecznym, i nie uznaje żadnego innego autorytetu, jak tylko ten, który sobie ludzie sami ustanowili. To zaś jest również niezgodne z wiarą katolicką. Leon XIII. w encyklice „*Quod apostolici muneris*“ z dnia 28 grudnia 1878 roku tak pisze: „Według nauki Ewangelji równość między ludźmi polega na tem, że wszyscy otrzymali tę samą naturę, powołani są do tej samej wzniosłej godności synów Bożych, do tego samego

są przeznaczeni celu i wszyscy będą sądzeni wedle tego samego prawa, i według zasług otrzymają nagrodę i karę. Nierówność zaś co do prawa i władzy pochodzi od samego Twórcy natury, od którego pochodzi wszelkie ojcostwo w niebie i na ziemi“.

Nauka chrześcijańska przepisuje nadto, że sługa ma być posłuszny panu, podwładny zwierzchności, dzieci rodzicom, żona mężowi, i że posłuszeństwo to ma płynąć ze sumienia, z poczucia obowiązku, nałożonego od Boga. Znaczy to, że chrześcijaństwo uznaje tyleż powag od Boga ustanowionych. Skutkiem tego niemożliwym jest, żeby chrześcijanin nawet w sprawach *doczesnych* uznawał tylko te powagi, które *sam ustanowił*, i domagał się usunięcia i zniesienia wszelkiej zależności od powag, danych od Boga.

d) Partja socjalistyczna jest poza tem partją rewolucyjną, a nawet szczyci się tem; głosi ona *bezwzględne prawo do rewolucji*, czyli do *gwałtownego przewrotu istniejącego prawnie porządku społecznego i do obalania prawowitego rządu*. Na tę drogę żaden katolik za nią pójść nie może, jeżeli ma nie sprzeniewierzyć się swej wierze; wszak wiara ta przez usta św. Pawła nakazuje: „Każdy niechaj będzie poddany władzom wyższym, bo niemasz władzy, jeno od Boga, a które są, od Boga są postanowione. Przeto kto się sprzeciwia władzy, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, sami na siebie ściągają potępienie“ (Do Rzymian 13, 1—2).

Nie zmieniają postaci rzeczy niektórzy umiarkowani socjaliści, gdy przemawiają na korzyść „rewolucji legalnej, pokojowej“. Czego się można spodziewać po takim zapewnieniu, dostatecznie pokazały wydarzenia lat ostatnich. Z chwilą, jak się tym „umiarkowanym“ wydaje, że nadszedł moment i nadarzyła się sposobność do zagarnięcia władzy nad państwem, nie wahają się oni wcale przed użyciem nawet brutalnych środków i przemocy. Zresztą z tej przemocy nie mogą oni nawet zrezygnować, bo bez użycia gwałtu nie osiągną tego, żeby właściciele dóbr produkcyjnych pozwolili sobie wydrzeć środki produkcji.

e) Socjalna demokracja jako partja stosuje metodę walki klasowej i walkę tę prowadzi, podniecając ustawicznie *nienawiść* jednej klasy do drugiej, a czyni to w sposób taki, że całkiem naturalnie musi to doprowa-

dzić do wzajemnego szczucia na siebie, do powszechnego rozgoryczenia, do wykroczeń i rozruchów, a w końcu do wojny domowej, a jeżeli tego już tu i ówdzie ze zgrozą doświadczyli, a może jeszcze będziemy musieli doświadczyć. Robotnikom oczywiście tak samo, jak każdemu innemu stanowi, wolno dążyć, przy pomocy uczciwych środków, do uznania swych praw, a nawet wolno o nie walczyć, ale sposób walki, jakiego używa partja socjalno-demokratyczna, sprzeciwia się jak najjaskrawiej chrześcijańskiemu przykazaniu miłości bliźniego, która stanowi duszę wszelkiej moralności chrześcijańskiej. Dlatego także z tego względu katolik, który naprawdę chce przestrzegać nauki swego Mistrza i chować jego przykazania, nie może przystać do socjalnej demokracji, bo nie może się zgodzić na jego metodę walki, więc też takiej walki prowadzić nie może.

f) Tak samo niezgodny z nauką Kościoła katolickiego jest podstawowy postulat partji socjalistycznej, żeby zniesiono własność prywatną środków produkcji.

W wiedeńskim czasopiśmie p. t. „Seelsorger“ wyrażono wprawdzie inne zapatrywanie. X. Dr. Pfliegler twierdzi, że dzisiejsze nasze prawo pozytywne opiera się na starem rzymsko-pogańskim pojęciu własności, że Biblia coprawda przyjmuje własność, nie zawiera jednak ani jednego zdania, któreby własności dawało jakąkolwiek wartość religijną; przeciwnie, Pismo św. o własności wyraża się podobno zawsze w ten sposób, że posiadanie własności jest połączone jedynie z niebezpieczeństwem dla życia religijnego. Tymczasem dzisiejsi nauczyciele chrześcijańskiej etyki gospodarczej piszą podobno tak, jak gdyby Pan Jezus tylko po to przyszedł na świat, żeby zabezpieczyć ludziom posiadanie worka z pieniędzmi¹⁾. W tem samem czasopiśmie pewien katolik świecki z akademickiem wykształceniem poucza nas, że socjalizm właściwie nie tylko nie przeczy własności prywatnej, lecz ją nawet uznaje, a tylko domaga się zniesienia *jednego* rodzaju własności, czyli własności środków produkcji. Czy zaś ma nastąpić socjalizacja środków produkcji, lub nie, to — według tego pana — jest kwestją czysto gospodarczą, względnie socjologiczną. Za takim, czy innem rozwiązaniem tej kwestji mogą przemawiać

¹⁾ „Der Seelsorger“ IV, Nr 1, str. 9.

rozmaite racje, niema jednak *teologicznych* racyj ani za, ani przeciw socjalizacji środków produkcji. Dlatego walka z socjalizmem jako z teorią społeczną za pomocą rozważań *teologicznych*, albo ze względów teologicznych ma być niedopuszczalna¹⁾.

Czy to prawda? W tych twierdzeniach niestety prawda jest aż zanadto pomieszana z fałszem.

Posiadanie dóbr doczesnych nie należy co prawda bezpośrednio do środków łaski, ale pośrednio ma ono jednak służyć życiu religijnemu i pomagać człowiekowi na drodze do zbawienia, ponieważ człowiek choćby był nie wiedzieć jak doskonały pod względem moralnym, nie może żyć powietrzem, lecz musi się odżywiać, ubierać i mieć mieszkanie. A choć majątek jako taki nie posiada wartości pod względem religijnym, to jednak Pan Bóg, żeby bronić tego, co człowiek posiada w sposób zgodny z prawem, dał dwa przykazania, to jest siódme i dziesiąte, i żąda, żeby je ludzie zachowywali pod groźbą utraty szczęścia w niebie. Albowiem Apostoł narodów, Paweł św., powiada wyraźnie, że złodzieje, ani chciwcy, ani zdziercy nie posiedzą królestwa Bożego (1 Kor. 6, 10). Pismo św. więc nie tylko przyjmuje prawo posiadania, lecz je uznaje i broni go za pomocą dwóch przykazań, i to tak surowo, że przestępcom grozi karą piekła. Chrystus Pan zaś nie tylko nie zniósł danych na Synaju przykazań, lecz je zatwierdził, więc słuszność własności prywatnej i jej obrona nie ogranicza się do Starego Testamentu, lecz rozciąga się na wszystkie wieki i wszystkie kraje, czyli także na wiek XX i wszystkie przyszłe wieki, tak samo jak na czasy przed Chrystusem. X. Dr. Pfliegler, pisząc, że Pismo św. o własności wyraża się zawsze tak, że jest ona połączona z niebezpieczeństwem dla życia religijnego, padł ofiarą fatalnej pomyłki, pomieszał bowiem *własność* z *bogactwem*. Pismo św., to prawda, zawsze przestrzega przed niebezpieczeństwem bogactwa, ale nie wiem ani o jednym takim zdaniu w Piśmie św., któreby głosiło, że własność stanowi jedynie niebezpieczeństwo dla życia religijnego. Wiem też, że Pismo św. zaleca i radzi dobrowolne ubóstwo jako coś doskonałego, natomiast nic mi nie wiadomo o tem, jakoby ono o niebezpieczeństwach *własności* wyrażało się tak samo,

¹⁾ Tamże III, 11/12, str. 306.

jak o niebezpieczeństwach *bogactwa*. Nie może więc być wątpliwem, że Pismo św. uznaje prawo do własności prywatnej, i że bardzo skutecznie staje w obronie prawowitej własności.

Tak samo atoli pewnem jest, że przez własność, którą człowiek posiada, albo posiadać może w sposób legalny, Pismo św. rozumie nie tylko dobra użytkowe, lecz także dobra wytwórcze, t. j. środki pracy. Nie mówiąc bowiem nawet o tem, że siódme przykazanie zakazuje nie tylko kradzieży dóbr użytkowych, lecz wogóle wszelkiej kradzieży, dziesiąte przykazanie zakazuje nawet nieporządnego pożądania dóbr bliźniego, i wylicza między innemi szereg przedmiotów, które z pewnością nie są tylko dobrami użytkowymi: „Nie pożądaj domu bliźniego twego, ani roli, ani sługi, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest”. (Deuteron. 5, 21).

Z nauką Pisma św. zgadza się w zupełności nauka Kościoła. Zwłaszcza wielki Leon XIII, papież socjalny, często podnosił głos w obronie własności prywatnej, prawo do własności prywatnej nazywał bądź prawem od natury człowiekowi danem¹⁾, bądź przez prawo natury sankcjonowanem²⁾, a w wiekopomnej encyklice „*Rerum novarum*” o sprawie robotniczej obszernie zbijał żądanie socjalnej demokracji, domagającej się zniesienia prawa własności. Wykazał on tam, że zniesienie własności prywatnej zaszkodziłoby bardzo samym robotnikom, bo wówczas nie mogliby oni już swobodnie rozporządzać zarobionym groszem, nie mogliby ze swoich oszczędności nabywać ziemi i majątku, ani wogóle posiadać niczego na własność, żeby poprawić swój los. Jeszcze ważniejsze — pisze tu papież — jest to, że środek zaradczy, który polecają socjaliści, sprzeciwia się całkiem oczywiście sprawiedliwości, gdyż prawo do posiadania prywatnego daje człowiekowi sama natura³⁾. W końcu to, czego się domagają socjaliści, podkopałoby spokój i bezpieczeństwo publiczne i naraziłoby państwa na zupełny rozkład.

¹⁾ Encyklika „*Quod apostolici muneris*”: „*Jus proprietatis ac dominii ab ipsa natura profectum*” (Wydanie Herdera, I, str. 45).

²⁾ Tamże, str. 31: „*Jus proprietatis naturali lege sancitum*”.

³⁾ „*Quia possidere res privatim ut suas, jus est homini a natura datum*” (Wyd. Herdera z r. 1919, str. 6, wzgl. 164).

Że zaś papież miał na myśli nie tylko prawo do prywatnej własności dóbr użytkowych, lecz w pierwszym rzędzie środków produkcji, dowodzą jego własne słowa. Leon XIII mówi bowiem wyraźnie, że człowiek osobiście ma prawo posiadania „nie tylko takich rzeczy, które się zużywają wskutek ich używania, lecz także takich, które trwają podczas używania i po ich użyciu”. To samo wynika z nauki potępionej przez papieża, a papież potępił właśnie postulat socjalnej demokracji, zdążający do zniesienia własności prywatnej i przekazania jej gminie lub państwu, a socjalna demokracja żąda właśnie, żeby albo przedewszystkiem, albo tylko dobra wytwórcze przeszły na wspólną własność.

Pius X nauki swego poprzednika powtórzył z naciśkiem. W tym celu w „Motu proprio” z dnia 18. grudnia 1903 roku zestawił on najważniejsze zasady, zawarte w encyklice Leona XIII, i postanowił, że katolicka polityka socjalna winna się ich trzymać. Według tych zasad „człowiek nie tylko ma zwyczajne prawo korzystania z dóbr tego świata jak zwierzę, lecz także prawo posiadania ich na stałe, a prawo to odnosi się zarówno do tych rzeczy, które się zużywają przez ich użycie, jak i do tych, które się nie zużywają przez to, że człowiek z nich korzysta”. Własność prywatna, tak określona, według nauki tegoż papieża „jest bezwzględnie prawem natury”¹⁾.

Do rzeczy zaś, które się nie zużywają wskutek posługiwania się nimi, z całą pewnością należą także środki pracy, czyli dobra wytwórcze.

W końcu Benedykt XV zaraz w pierwszej encyklice po wyborze na papieża („Ad beatissimi” z dnia 1. listopada 1914 r.) wskazał na encyklikę Leona XIII przeciwko socjalnej demokracji i polecił biskupom, żeby dołożyli starań, aby nauki w nich zawarte nigdy nie poszły w zapomnienie.

Jest zatem bezwątpienia nauką Kościoła, że człowiek posiada dane od Stwórcy natury prawo do prywatnej własności nie tylko dóbr użytkowych, lecz także wytwórczych. Z tą zaś nauką nie da się pogodzić głoszony przez socjalistów postulat zniesienia prywatnej własności wszystkich środków produkcji. Przeciwnie, z nauki Kościoła o własności prywatnej wynika,

1) Archiv für kath. Kirchenrecht, t. 84, str. 123.

a) że prawowitego właściciela środków produkcji bez krzyżującej niesprawiedliwości nie wolno tak poprostu ograbić z tychże środków;

b) że wywłaszczenie środków produkcji może nastąpić tylko za odpowiednim odszkodowaniem i tylko o tyle, o ile to jest potrzebne dla powszechnego dobra państwa;

c) że państwo nigdy nie może zająć wszystkich środków produkcji i występować jako ich jedyny właściciel, bo w takim razie albowy naruszyło prawo, które człowiekowi dała sama natura, albo też należałoby — wbrew nauce Kościoła — powiedzieć, że człowiek prawa prywatnego posiadania środków produkcji nie otrzymał od natury, czyli od Stwórcy.

Państwo na mocy swej naczelnej władzy rządzenia, czyli sądenia, może cprawda wkraczać w stosunki posiadania i porządkować je, ale tylko wówczas i o tyle, jeżeli, i o ile tego domaga się dobro ogółu; może też państwo oczywiście być właścicielem, i pewne środki produkcji wziąć w swoje wyłączne posiadanie i wyłączny swój zarząd, jeżeli się tego domaga dobro państwa, ale przenigdy nie można państwu przyznać *wyłącznego* prawa posiadania dóbr produkcyjnych, bo toby było naruszeniem przyrodzonych praw człowieka. Ponieważ prawo natury jest prawem boskiem, a Kościół jest nieomylnym stróżem prawa natury, przeto socjalna demokracja, domagając się socjalizacji wszystkich środków pracy, sprzeciwia się nauce Kościoła i prawu boskiemu. Kto wbrew temu wszystkiemu twierdzi, że ze stanowiska religii już niema żadnej trudności z żądaniem socjalistów zniesienia własności środków produkcji, że przeciw temu żądaniu już nie można wysuwać żadnych argumentów teologicznych, tak, że ten postulat socjalnej demokracji także katolicy mogliby całkiem spokojnie przyjąć, kto tak mówi, ten dowodzi, że albo nie rozumie nauki katolickiej, albo sobie z niej nic nie robi. Bo przeciwko temu postulatowi przemawiają bardzo poważne racje ze stanowiska religii. Gdyby było inaczej, to Kościół nie mógłby się wogóle zajmować tym podstawowym postulatem socjalistów, bo papież i biskupi nie mogliby się mu sprzeciwiać, względnie przekroczyliby swoje kompetencje, gdyby mimo to zajmowali się tą sprawą. A przecież o tem nie może być mowy. Dla katolika sprawa przedstawia się całkiem jasno.

Bo, żeby powtórzyć to, cośmy powiedzieli, przedstawia się ona tak:

Prawo własności prywatnej także co do środków produkcji jest prawem nadanem przez samego Pana Boga; zniesienie własności prywatnej i przeniesienie jej w posiadanie wspólne zostało potępione przez Leona XIII, a Pius X to potwierdził;

Leon XIII wyraźnie zażądał, żeby przy wszystkich usiłowaniach poprawy losu klas niższych, trzymać się zasady, iż własność prywatna jest nietykalna i nienaruszalna;

Pius X we wspomnianem Motu proprio wśród wytycznych katolickiej polityki socjalnej na nowo przypomniał tę zasadę Leona XIII z tem, że chodzi w niej także o te dobra, które nie podlegają zużyciu wskutek korzystania z nich;

trzymając się tych orzeczeń papieży, biskupi w osobnych listach pasterskich wykładają taką samą naukę, a czynią to również i katolicycy teologowie moraliści, filozofowie moraliści i nauczyciele systemów gospodarczych;

wobec tego, każdy katolik, nawet świecki, musi zrozumieć, że podstawowa nauka socjalistyczna, iż gmina czy państwo, powinny skonfiskować wszystką własność prywatną środków produkcji i przekazać ją ogółowi, nie da się pogodzić z nauką Kościoła.

Katolicycy nauczyciele systemów gospodarczych, przyznając prawu własności znaczenie zasadnicze i przypisując mu „rolę decydującą“, idą właśnie za wskazówkami Leona XIII, a tylko pożałowania godna jednostronność, żeby się wyrazić możliwie łagodnie, może w tem upatrywać pozory nauczania, iż Zbawiciel tylko po to na świat przyszedł, żeby zabezpieczyć worki z pieniędzmi. Być może, iż tu i ówdzie w książkach katolickich ekonomistów i teologów moralistów lub filozofów moralistów te rozdziały, w których jest mowa o prawie własności, zajmują wiele miejsca, ale przyczyną tego nie jest naturalnie chęć zabezpieczenia ludziom worka z pieniędzmi, lecz przyczyna tkwi w tem, że obecnie właśnie to prawo własności jest tak bardzo narażone na ataki, przekręcane i fałszywie wykładane.

g) Pokrótkę stwierdzimy jeszcze tylko, że prasa socjalistyczna nie tylko nie zachowuje neutralności pod wzglę-

dem religijnym, lecz formalnie zionie nienawiścią do Kościoła i do religji, podkopuje naukę wiary i obyczajów, wyszydza ją i ośmiesza, i bądź otwarcie bądź potajemnie wzywa do apostazji, a przywódcy socjalistyczni prawie wszyscy są to albo ludzie bezwyznaniowi albo bez wszelkiej religji wogóle, albo też wprost wrogowie Kościoła; każdy wniosek, który zmierza do szkodenia religji, znajduje u nich poparcie w ciałach ustawodawczych; partja socjalistyczna albo jest wprost sprzymierzona ze związkami i dążeniami jak najbardziej wrogiemi religji, albo też współdziała z niemi, jak n. p.: z masonerją, z t. zw. „wolną szkołą“, z reformatoremami małżeństwa, ze związkami palenia zwłok i t. p., a t. zw. „przyjaciiele dzieci“ są to wprost przez socjalistów pozakładane organizacje.

Wkońcu partja socjalistyczna albo organizacje z nią sprzymierzone niejednokrotnie wręcz podburzały ludność, żeby występowała z Kościoła.

Czyż wobec tego wszystkiego potrzeba jeszcze osobno stwierdzać, że katolik do takiej partji przenigdy nie może wstąpić, chyba, że chce pogwałcić swoje sumienie i stanąć w sprzeczności z przepisami swej wiary?

To też nieprawdą jest, co się tu i ówdzie słyszy nawet od katolików, jakoby nieprzejeđnana sprzeczność za chodziła jedynie między *światopoglądem* socjalistycznym i wiarą katolicką, a nie między *partją* socjalno-demokratyczną i wiarą chrześcijańską. Niewątpliwie między *światopoglądem* socjalistycznym a wiarą katolicką, istnieje przepaść, której nie można wyrównać, i już powyżej dowiedliśmy, że kto przyjmuje *światopogląd* socjalistyczny, ten przyznaje się do skończonego niedowiarstwa. Ale nie da się również zaprzeczyć, że należenia do *partji* socjalistycznej niepodobna pogodzić z wiarą katolicką.

Dlaczego katolik nie może należeć do partji socjalistycznej?

Jeżeli jestem katolikiem, to muszę wyznawać, że nie tylko osoby prywatne, lecz także społeczeństwo, rodzina, gmina, państwo mają obowiązki religijne względem Boga; nie mogę więc przyznawać się do partji, która twierdzi, że religja jest rzeczą czysto prywatną, a społeczeństwo, państwo i instytucje państwowe chce urządzić bez oglądania się na religję, jak tego właśnie żąda partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to muszę obstawać za taką współpracą Kościoła z państwem, jakiej chce Bóg, nie mogę więc być członkiem partji, która zasadniczo żąda rozdziału Kościoła od państwa — a taką partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to najświętsze przykazania boskie i kościelne obowiązują mnie, bym się domagał religijnego wychowania dzieci w szkole i w domu; dla katolików szkoła religijna jest sprawą na śmierć i życie, na być i niebyć. Nie mogę więc żadną miarą ani przystać do partji, ani popierać partji, która programowo domaga się szkoły bez Boga i bez religji — a tą partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Katolik zna tylko sakramentalne i nierozzerwalne małżeństwo. Niechcąc zdradzić swej wiary, nie może więc katolik przystać do partji, która chce zaprowadzić małżeństwo czysto świeckie, a nadto jeszcze rozwody — a do tego dąży właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli chcę być katolikiem, to nietylko w sprawach duchownych, ale także w sprawach *doczesnych*, muszę uznać dane od Boga autorytety, nie mogę więc trzymać z partją, która nie uznaje żadnego innego autorytetu prócz tego, który sobie ludzie sami stworzyli, a taką partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to muszę być posłuszny prawowitej władzy państwowej, nie mogę więc brać udziału w partji, która się nazywa rewolucyjną i która głosi bezwarunkowe prawo do rewolucji — a taką partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to muszę wyznawać prawo do prywatnej własności, także dóbr produkcji, nie mogę więc być członkiem partji, która chce zniesienia tego prawa — a tą partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to muszę zachowywać przykazania moralności chrześcijańskiej, a przede wszystkim przykazanie chrześcijańskiej miłości bliźniego, bo ono jest duszą moralności chrześcijańskiej — nie mogę więc być zwolennikiem partji, która żyje z tego, że głosi walkę i nienawiść klasową — a tą partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Jeżeli jestem katolikiem, to rozumie się samo przez się, że jestem obowiązany bronić swego Kościoła i ujmować się za nim, więc żadną miarą nie mogę równocześnie na-

leżeć do partji, która wszelkimi sposobami toczy walkę z Kościołem katolickim — a tą partją jest właśnie partja socjalistyczna.

Tu doprawdy katolik znajduje się wobec nieuniknionego: albo — albo: Albo katolik albo socjalny demokrat, jedno i drugie równocześnie jest niemożliwe.

3. X. Dr. Pfliegler uważa jednak, że to

„Albo — albo“

jest „nie do darowania“ i, że słowo Bebla, który powiedział, iż chrześcijaństwo i socjalizm mają się do siebie jak ogień i woda, powinniśmy pozostawić wolnomyślicielom; jeżeli *my* słowo to bierzemy do ust, wówczas, tak mniema X. Pfliegler, jest to tylko woda na młyn wolnomyślicieli i apostołów odszczepieństwa od Boga i Kościoła ¹⁾. Słudzy Kościoła — powiada X. Dr. Pfliegler — zupełnie jak jaki Bebel powtarzają to „albo — albo“, czyli „albo chrześcijanin — albo socjalista“, nie spostrzegli się jednak, że słowa te wywołują skutek wręcz przeciwny temu, którego się spodziewali. Pod ciężarem stosunków ekonomicznych ci socjaliści, którzy jeszcze są katolikami, gdy się ich postawi przed alternatywą „albo chrześcijanin — albo socjalista“ podobno wybierają socjalizm ²⁾.

a) Takie postawienie sprawy „albo katolik — albo socjalista“ ma więc być niedopuszczalnem postawieniem ludzi przed alternatywą „albo — albo“? Czyżby w takim razie niedopuszczalnym należało nazwać czyn biskupów *holenderskich*, którzy we wspólnym liście pasterskim z dn. 10. grudnia 1918 r. tak napisali: „Katolicy! Oświadczcie się, czy chcecie stanąć po stronie Chrystusa, czy też przeciwko Chrystusowi! Powiedzcie, czy jesteście za swoją wiarą katolicką, czy też przeciwko niej! Bo albo jesteście katolikami, albo socjalnymi demokratami. Jest bowiem rzeczą niemożliwą być równocześnie katolikiem i socjalistą?“ ³⁾

Czyż więc rzeczą „niedopuszczalną“ byłoby to, co w swym liście pasterskim z dn. 8. stycznia 1919 r. napisali

1) „Der Seelsorger“ III, Nr 8, str. 239 nast.

2) „Neuland“ IV, 6/8, str. 123, i „Seelsorger“ l. c. 240.

3) Ob. „Paulus“ t. I, zesz. 2 i 3, str. 92.

biskupi *provincji Dolnego Renu*: „Kto trzyma z Chrystusem i Jego Kościołem, ten nie może trzymać z socjalizmem. Albo — albo. Sprawa ma się naprawdę tak, jak to powiedział ów wódz socjalistów: chrześcijaństwo i socjalizm są obie tak wrogie jak ogień i woda“¹⁾.

Albo czy coś „niedopuszczalnego“ popełnił cały episkopat *niemiecki*, kiedy we wskazaniach dla duchowieństwa tak pisał: „Nic nie potrafi wpłynąć na Kościół, żeby albo zmienił, albo złagodził swoje odmowne stanowisko wobec wszystkich związków i kierunków wrogich chrześcijaństwu i Kościołowi, czy to będą związki *socjalistyczne*, *wolnomularskie*, czy inne. *Każdemu katolikowi jest i będzie surowo zabronione wstępowanie do takich partyj czy związków lub pomaganie im w ich dążeniach?*“

A może także *szwajcarscy i austriaccy* biskupi uczynili coś nagannego, gdy tak samo oświadczyli, że socjalna demokracja nie da się pogodzić z wiarą katolicką i całkiem serjo wezwali do występowania z organizacyj socjalistycznych? (Patrz list pasterski biskupów Szwajcarii o socjaliźmie z dnia 29 lipca 1920 r., oraz nauki i wskazania biskupów austriackich o współczesnych sprawach społecznych z r. 1925).

Albo może także Leon XIII postąpił sobie w sposób niedopuszczalny, kiedy już w encyklice „*Quod apostolici muneris*“ stwierdził, że między zgubnymi ideami socjalizmu a czystą nauką Chrystusa zachodzi taka sprzeczność, że większą trudno sobie wyobrazić, i wskutek tego wezwał biskupów, żeby dolożyli starań, iżby synowie Kościoła katolickiego ani nie wstępowali do tego niegodnego związku ani go też w żaden sposób nie popierali?

Widzimy więc, że papież i biskupi uczą, iż między socjalną demokracją a wiarą katolicką zachodzi jaskrawa sprzeczność, skutkiem czego zakazują oni surowo katolikom zapisywania się do socjalnej demokracji, więc nasze „albo — albo“ papież i biskupi podziеляją bądź wyraźnie bądź milcząco. Łatwo też przekonać się po choćby pobieżnem porównaniu programu partji socjalistycznej z nauką katolicką, że oczywista różnica między niemi rzuca się poprostu w oczy. Zatem katolik doprawdy musi sobie powiedzieć: „albo — albo“, albo katolik, albo socjalista. Jest to wniosek tak naturalny i nieunikniony,

¹⁾ L. c., str. 98.

że o tem „albo — albo“ nie potrzebuje go dopiero pouczać papież, biskupi i księża, lecz mówi o tem zwyczajną znajomość wiary katolickiej.

Co wobec tego „albo — albo“ uczyni katolik, na co się faktycznie zdecyduje, na to już my nie zdołamy wpłynąć, bo to nie jest w naszej mocy. Ale katolik teraz już wie, co mu nakazuje sumienie; czy pójdzie za głosem tego sumienia, lub nie, to już zależy od jego wolnej woli.

b) Może jednak nie powinniśmy sprawy stawiać w ten sposób, że „albo katolik albo socjalista, a nie jedno i drugie równocześnie“, bo u socjalistów mamy do czynienia z ludźmi, którzy są szczerze przekonani o uczciwości ideji i słuszności zapatrywań, którzy wprowadzie błędą, ale błędą bez własnej winy, więc należy obchodzić się z nimi odpowiednio?

Ale i to nic nie pomaga, i to nasze „albo — albo“ jak było, tak jest. Gotowiśmy z całą chęcią przyznać, że olbrzymia masa robotników zorganizowanych przez socjalną demokrację błądzi bez własnej winy. Ale błędzących bez własnej winy nie wolno zostawić w ich błędzie, lecz należy ich oświecić, w każdym razie wtedy, jeżeli to błędzenie jest dla nich samych niebezpieczne i zarówno państwo jak i Kościół naraża na zgubę. A tak właśnie ma się sprawa bezwątpienia z należeniem katolików do socjalizmu w dobrej wierze. Jeżeli ich spokojnie pozostawimy w błędzie, jakoby bez szkody dla swej wiary katolickiej mogli bezpiecznie kroczyć w szeregach socjalistycznych, to dostaną się pod całkowity wpływ partji, prasy i agitacji socjalistycznej, tak, że zachodzi niebezpieczeństwo, iż zobojętnieją we wierze, a z czasem ta wiara zamrze w nich. Że niebezpieczeństwo to nie jest urojone, lecz prawdziwe i nader wielkie, dowodzi codzienne doświadczenie. Przez wstępowanie w szeregi socjalistyczne wzmacniają się nadto wpływy i siły socjalnej demokracji tak, że może ona coraz śmielej i skuteczniej występować ze swojemi żądaniami i przez to podrywać i podkopywać zarówno państwo jak Kościół.

Zresztą całe pytanie, czy należy uświadamiać ludność o socjaliźmie lub nie, o tyle nie ma właściwie sensu, że papież i biskupi już dawno całkiem niedwuznacznie wypowiedzieli się o niemożliwości pogodzenia socjalnej demokracji z wiarą katolicką. Wobec tego niema się co pytać dopiero, czy należy uświadamiać lub nie. Wszak za-

danie księży nie może polegać na tem, żeby takie wyraźne nauki papieży i biskupów chowali pod stół i zachowywali o nich grobową ciszę, lecz obowiązkiem ich jest mówić o nich ludziom i pouczać wiernych na właściwym miejscu, w odpowiednim czasie i w należyty sposób. Także w rozmowach prywatnych ksiądz nie powinien milczeć o tych sprawach, lecz śmiało głosić prawdę i otwierać ludziom oczy. Bez szorstkości, z miłością i cierpliwością, a ze sercem współczującym, musi on wytłómaczyć robotnikowi, że Kościół musi zakazywać dobrowolnego wstępowania do socjalistów, i że musi stawiać to znane „albo — albo“, nie czyni tego jednak z powodów gospodarczych lub politycznych, lecz jedynie i wyłącznie ze względów religijnych.

c) Słyszy się jednak tu i ówdzie, że wszelka praca uświadamiająca na nic się nie przyda i że mimo wysiłków w tym kierunku wielka masa robotników i tak pójdzie do socjalistów. Otóż co do tego, jużśmy powiedzieli, że gdzie zachodzi położenie naprawdę przymusowe, tam nauka moralności chrześcijańskiej przy zachowaniu koniecznej ostrożności i zastosowaniu środków zapobiegawczych toleruje zewnętrzne należenie do partji socjalistycznej. Gdzie natomiast nie zachodzi położenie przymusowe, tam przystąpienie do socjalistów jest i będzie niedozwolone. Stąd, że się przewiduje, iż mimo naszego uświadamiania i tak ludzie pójdą do socjalistów, nie wynika wcale, żebyśmy nie mieli obowiązku mówienia prawdy tam, gdzie chodzi o niebezpieczeństwo dla samych podstaw wiary, Kościoła i państwa. Obowiązek musimy pełnić bez względu na to, czy nas ludzie słuchają lub nie. Oczywiście, jeżeli ksiądz jest tego przekonania, „że z powodu obecnej nędzy gospodarczej i ucisku społecznego robotnicy mogą być tylko socjalistami“¹⁾, jeżeli socjalną demokrację uważa za jedyną prawdziwą obronę interesów robotniczych, a pracy organizacyj i partyj chrześcijańskich poprostu nie chce widzieć, to nie dziwota, że religijne uświadomienie o przynależności partyjnej osiąga rezultaty wręcz przeciwne tym, których się spodziewano. Trzeba być sprawiedliwym nie tylko dla socjalnej demokracji, lecz także dla innych organizacyj!

d) Mówią mi jednak, że robotnicy nie dlatego przystępują do partji socjalistycznej, że się im podoba jej ma-

¹⁾ „Neuland“ IV, 6/8.

terjalizm filozoficzny i jej stanowisko antyreligijne, lecz dlatego, że się od niej spodziewają wybawienia ze straszliwej nędzy gospodarczej. Nie z usposobienia wrogiego dla Kościoła i dla religji, lecz dla korzyści gospodarczych i społecznych, które im obiecuje socjalna demokracja i wywalcza je dla nich, wielu robotników i funkcjonariuszów katolickich przeszło i przechodzi do partji socjalistycznej. Zresztą partja socjalistyczna w programie swoim ma nietylko same niewłaściwe cele, lecz także takie, na które można się zgodzić całem sercem i pisać się na nie.

To wszystko prawda, albo przynajmniej może być prawdą, a jednak to jeszcze nie pozwala dobrowolnie przystać do socjalnej demokracji, ani też nie zmienia naszego „albo — albo“.

Bo tylko katolik, który się zapisuje do partji socjalistycznej, odróżnia między słusznymi a niesłusznymi żądaniami socjalizmu; tylko katolik tamte uznaje, a te drugie odrzuca; tylko katolik, zgadzając się na słuszne cele gospodarcze socjalnej demokracji, potępia jej robotę antykościelną. Natomiast sama partja socjalistyczna tych rzeczy niestety nie odróżnia. Tam niema różnicy między religijnymi a niereligijnymi towarzyszami. Tam się nie mówi do jednych: „Wasze pieniądze i wasze głosy idą tylko na walkę o polepszenie gospodarczych stosunków robotnika“, a do drugich: „Wasze składki i wasze kartki wyborcze pomagają nam także we walce z Kościołem“. Kto się zapisał do partji socjalistycznej, ten płaci i głosuje na *cały* program partyjny, więc także na zwalczanie Kościoła i religji. Stąd każdy towarzysz, czy on jeszcze ma Boga w sercu, czy nie, staje w socjalistycznych szeregach, walczących przeciwko wierze i moralności chrześcijańskiej, gdyż mu nie wolno udziału swojego ograniczyć tylko do dążeń czysto gospodarczych, lecz partja używa go do przeprowadzania swojego *całego* programu, czy on tam chce, czy nie chce. Bo „jak kto poszedł między wrony, musi krakać jak i one“. Trafnie piszą biskupi niemieccy w swoich wskazaniach, że do związków wrogo usposoboionych względem Kościoła nie wolno wstępować nawet wówczas, jeżeliby „ta lub owa partja obok celów niegodziwych miała także niektóre cele słuszne i uczciwe, albo jeżeliby niektóre z pośród nich powoli stały się nieco zbliżyć do Kościoła. Dopóki bowiem jakiś kierunek lub jakaś partja zawiera nauki i cele niezgodne

z nauką i z prawami Chrystusa i Kościoła, dopóty do niej należeć nie wolno, bo przynależności nie można ograniczyć do niektórych punktów godziwych, lecz każdy członek swoją osobą, swoim imieniem i swoją składką musi służyć całemu programowi, a zatem także dążeniom, wrogim Kościołowi¹⁾.

e) Jeżeli zresztą alternatywa „albo katolik, albo socjalista“ jest niedopuszczalna, wówczas oczywiście dopuszczalnem może być jedynie stanowisko wprost przeciwne, czyli stanowisko, określone słowami: katolik i socjalista. Ale tego nie odważył się powiedzieć nawet X. Dr. Pfliegler. Tam, gdzie podaje hasło, którego należy się — według niego — trzymać na przyszłość, nagle tak mówi: „Nie: Kościół albo proletarjat, lecz: Kościół i proletarjat“²⁾. Za pozwoleniem! Ale to przecież jest całkiem co innego. Na takie hasło i takie rozwiązanie kwestji każdy ksiądz pisze się obiema rękami, jak to mówią, bo takie postawienie sprawy każdy z nas nosi od dawna w sercu. Od dawna, bo to nie jest doprawdy nic nowego. Wszak od dawna wszystka praca duszpasterska w ośrodkach robotniczych po miastach i w kraju zdążała do tego, żeby robotników, którzy się poróżnili z Kościołem, pozyskać na nowo dla wiary. Bez wytchnienia i gorączkowo obmyślamy nowe sposoby i nowe środki, żeby załatwić ten królewski problem duszpasterski. O ile mi wiadomo, w Kościele nie odezwał się nigdy ani jeden głos, żeby Kościół odseparował się od proletariatu. Tegoby Kościół zresztą nie mógł uczynić, bo wtedy ciężko sprzeniewierzyłby się swoim zadaniom. Natomiast głośno należy zaprotestować przeciwko tym, którzy żądają, żebyśmy hasło: „Albo katolik albo socjalista“, zrównali z zawołaniem: „Albo Kościół albo proletarjat“. Jeżeli nie chcemy dopuścić do strasznego pomieszania pojęć, to nie możemy uskutecznić takiego zrównania.

Socjalna demokracja oznacza partję wrogo usposobioną wobec religji, więc katolikowi nie można pozwolić, żeby do niej należał dobrowolnie.

Proletarjat oznacza warstwę robotniczą, od której Kościół nie chce się odseparować, lecz z którą chce być złączony.

1) Ob. „Paulus“ t. I, 2 i 3, str. 85.

2) „Neuland“ IV, 6/8, str. 126.

X. Dr. Pfliegler żąda, żeby w przyszłości nie było walki ze socjalizmem, lecz żeby nastąpiło *wybawienie* socjalizmu, i żeby socjalizmowi nadano sens i znaczenie¹⁾. Chce on, żebyśmy tych socjalistów, którzy jeszcze są katolikami, nakłonili, iżby „socjalizmem swoim żyli z ducha Chrystusowego“²⁾. Trudno to doprawdy zrozumieć, jak można żyć „z ducha Chrystusa“ światopoglądem, wrogiem Chrystusowi, programem partji również wrogiem Chrystusowi, oraz robotą partyjną, niemniej wrogo nastawioną do Chrystusa. Taby się mogło stać chyba dopiero wówczas, gdy socjalizm nie tylko zejdzie ze swojego stanowiska, wrogiego religji, lecz także ze swego programu, i z życia partyjnego wyrzuci wszystko, co się sprzeciwia nauce i przykazaniom Chrystusa. A o „wybawienie socjalizmu“, jeżeli słowo to ma nie pozostać tylko pustym frazesem, tylko wówczas będzie mogła być mowa, jeżeli socjalizm przejdzie na chrześcijaństwo. Ale z chwilą, jak ze socjalnej demokracji zostanie usunięte wszystko, co w niej jest wrogie religji i Kościołowi, będzie ona wprawdzie „wybawiona“, lecz przestanie być tem, czem była dotąd, i będzie musiała zrezygnować ze swego charakterystycznego, zasadniczego postulatu, to jest z postulatu socjalizacji środków produkcji.

Wracamy tedy do tego samego punktu, od któregośmy wyszli:

Dopóki socjalna demokracja pozostaje tem, czem była dotąd, dopóty żadnemu katolikowi nie wolno do niej należeć dobrowolnie; dopóty też Kościół i jego przedstawiciele wobec socjalnej demokracji muszą zajmować stanowisko odmowne, a to z powodów czysto religijnych. Walka ta nie jest walką osobistą, lecz wyłącznie rzeczową według słów św. Augustyna: *Diligite personas, interficite errores*.

¹⁾ „Neuland“ I. c. str. 126. „Erlösung und Sinngebung des Sozialismus“.

²⁾ „Der Seelsorger“ III, 8, str. 240.

VIII.

Religja, a prawo wyborcze, wzgl. obowiązek wyborczy.

Religja, nakładając na katolika obowiązek brania udziału w życiu politycznem, domaga się od niego także, by korzystał z prawa wyborczego i głos swój oddał na kandydata dobrego i godnego.

Wybory, to wydarzenie najważniejsze i najobfitsze w skutki w całym życiu politycznem państwa i kraju. Wybory rozstrzygają o przyszłym kierunku rządu, albo przynajmniej wywierają w tym względzie bardzo znaczny wpływ, i oddziałują na stosunek rządu do Kościoła i jego instytucyj, do szkolnictwa, do spraw małżeńskich i do moralności publicznej, wogóle wyciskają swoje piętno na polityce na cały szereg lat. Jeżeli prawdą jest, że w państwach demokratycznych losy państwa spoczywają w ręku posłów, bo takie są rządy, jakie są uchwały posłów, to tem samem prawem można powiedzieć, że te losy państwa rozstrzygają się w dniu wyborów i leżą w ręku wyborców, bo oni wybierają przyszłych rządców państwa. Wobec tego katolik w dniu wyborów nie może i nie powinien być jedynie biernym obserwatorem i nie może obojętnie stać na boku. Jak każdy inny obywatel, także katolik ma obowiązek dbać wedle możliwości o losy państwa wogóle, a nadto, ponieważ właśnie w dzień wyborów mogą się rozstrzygnąć najświętsze interesy religji i Kościoła, musi on stanąć w ich obronie. Ta obrona zaś nie odbywa się dopiero w ciałach ustawodawczych (sejm, zgromadzenie narodowe), lecz już w dniu wyborów. Bo już w dniu wyborów właściwie zapada decyzja, czy państwo będzie państwem chrześcijańskim, czy też bezbożnem, czy między państwem a Kościołem zapanują stosunki życzliwe czy też wrogie, czy małżeństwo będzie rozerwalne czy nie, czy kielkujące w żywocie matki życie będzie otoczone ustawową opieką, czy też ustawy zezwolą na mordowanie dzieci w łonie matek. Tak jest, już w dniu wyborów zapadają decyzje w takich sprawach. Bo od wyniku wyborów zależy skład sejmu i senatu. Jeżeli przy wyborach zwyciężą stronnictwa antyreligijne, to należy się obawiać, że ustawy będą z pewnością antyreligijne; jeżeli natomiast przy wyborach wygrają stronnictwa do-

brze usposobione dla Kościoła, to można się spodziewać, że ustawodawstwo stanie w obronie religji i moralności chrześcijańskiej.

Tymczasem jest wśród nas wielu katolików zaspanych, i ci są na tyle naiwni, że wobec zbliżającej się walki z Kościołem pocieszają się, mówiąc: Nie jest przecie tak źle! Nie trzeba szerzyć popłochu, nie należy drażnić niepotrzebnie. Wszak mamy konstytucję i konkordat, a tam jest uregulowany stosunek Kościoła do państwa, tam przecież na ogół jest zabezpieczony interes Kościoła w sprawie szkolnictwa, małżeństwa i t. d. Że istniejące ustawy nie we wszystkim odpowiadają jeszcze zasadom Kościoła, to się jeszcze da zrobić. Nie trzeba tylko wywoływać wilka z lasu!

Katolicy, którzy tak mówią, zapominają jednak zupełnie, że wszystkie te ustawy ostatecznie są tylko świstkami papieru, jeżeli za niemi nie staną zwartym murem masy, któreby ich broniły i nie pozwoliły im przepaść. Jeżeli przy wyborach zwyciężą wrogowie religji i w odpowiedniej liczbie wejdą do sejmu i senatu, wówczas już na najbliższych posiedzeniach mogą oni obalić wszystkie ustawy, wydane w obronie religji, i mogą je zastąpić najgorszymi ustawami „kulturkampfu“. W państwach demokratycznych jedyną podporą, poprostu stosem pacierzowym wszystkich ustaw, w obronie religji wydanych, może być tylko silne stronnictwo polityczne, które obronę wiary i moralności chrześcijańskiej przyjęło do swego programu; jedyną ostoją są ci posłowie chrześcijańscy, którzy będąc wiernymi synami swego Kościoła, nie pozwolą nigdy, by naruszono chrześcijańskie urządzenia państwa. Tych posłów jednak trzeba wybrać w dniu wyborów. Jeżeli więc niesumienni katolicy wybierają wrogów religji, albo jeżeli wielu katolików wstrzymuje się od wyborów, wówczas partje chrześcijańskie zyskają tylko niewielu posłów, a ci, dla swej małej liczebności, potem już nie potrafią przeszkodzić uchwaleniu ustaw przeciwnych religji. Jeżeli tedy kiedy — nie daj Boże — otrzymamy ustawy, które obędą z charakteru chrześcijańskiego nasze życie publiczne, szkolnictwo, małżeństwo, rodzinę i t. d., to winna za to nie spadnie ani na posłów katolickich, ani na tych katolików, którzy należycie korzystali ze swego prawa wyborczego, lecz winna spadnie tylko na tych katolików, co w dniu wyborów albo nie

spełnili niewątpliwego w dzisiejszych warunkach obowiązku wyborczego, albo może nawet oddali głosy na partję wrogie religji. Oni, i tylko oni będą wszystkiemu winni, a każdy widzi, że także ich odpowiedzialność będzie zaiste wielka.

Oczywiście inną jest wina tego, który wybiera na posła człowieka wrogo usposobionego dla religji, a znowu inną jest wina takiego katolika, który się tylko wstrzymuje od głosowania. Kto głos swój oddaje na partję antyreligijną, ten, według zdania poważnych moralistów, grzeszy przeciwko sprawiedliwości wyrównawczej (*iustitia commutativa*), bo państwo ma ścisłe prawo żądać, żeby mu obywatele w dniu wyborów dostarczyli takich ludzi, którzyby byli wykwalifikowani do opatrowania pomyślności publicznej; posłowie zaś wrogo usposobieni dla religji są przecież tylko szkodnikami; kto się więc przyczynił do ich wyboru, ten musi także odpowiadać za wyrządzone przez nich szkody. Kto natomiast tylko wstrzymuje się od wyborów, ten wprawdzie nie popełnia grzechu we *wszystkich* wypadkach, grzeszy jednak przeciwko sprawiedliwości legalnej i przeciwko dobru ogółu, bo każdy wyborca na mocy udzielonego mu prawa wyborczego obowiązany jest dbać o dobro ogółu i uczynić w tym celu wszystko, na co go stać.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika samo przez się, że każdy katolik poniekąd pod grzechem obowiązany jest do korzystania z prawa wyborczego, zwłaszcza wtedy, jeżeli mają się rozstrzygać sprawy, dotyczące Kościoła i praw jego, jeżeli chodzi o chrześcijański charakter szkoły, małżeństwa, wychowania dzieci, życia rodzinnego, jeżeli niejako w powietrzu wiszą kwestje spokojnego rozwoju lub przewrotu stosunków społecznych i porządku państwowego i t. d.

Nie dość jednak z kartką wyborczą udać się do lokalu wyborczego; z prawa wyborczego należy nadto korzystać w sposób taki, jak się tego domagają przepisy moralności chrześcijańskiej.

Przepisy te można streścić w następujący sposób:

1. Katolicy *zasadniczo* mogą oddać głosy tylko na listę partji katolickiej, t. j. takiej, która uznaje przepisy wiary katolickiej i moralności chrześcijańskiej i wedle sił stara się, żeby były zachowywane.

2. Gdzie niema takiego politycznego zjednoczenia katolików, albo też niema widoków, żeby przeszedł choćby *jeden* kandydat z ich listy, tam katolicy mogą głosować na listę partji pod względem religijnym neutralnej, czyli obojętnej, a nawet muszą to uczynić wówczas, jeżeli głosy wyborców katolickich potrzebne są do wyłączenia jakiejs partji wprost antyreligijnej, albo przynajmniej do usunięcia jej od władzy i wpływów politycznych. W każdym bowiem razie lepiej jest, żeby do władzy przyszły partje i ludzie pod względem religijnym obojętni, aniżeli żeby władzę ujęli w swoje ręce zdecydowani wrogowie religji.

3. Gdzie są *tylko partje antyreligijne*, a katolicy nie mogą wystawić własnej listy wyborczej, tam katolicy muszą się wstrzymać od wyborów, bo zasadniczo nie wolno oddawać głosu na wrogów religji. Jeżeli jednak jedna z tych partyj antyreligijnych jest umiarkowanie, druga zaś radykalnie antyreligijna, wówczas katolicy mogą głosować na pierwszą, bo zawsze wolno współdziałać, żeby od Kościoła i państwa oddalić większe niebezpieczeństwo. Żeby atoli w takim wypadku zapobiec bałamuceniu ludności i możliwemu zgorzeniu, roztropność i miłość nakazuje, żeby publicznie oświadczono, iż głosowanie katolików na listę partji z programem antyreligijnym, ale umiarkowanym, nie równa się wcale ani aprobachie jej programu, ani też wstąpieniu w jej szeregi, lecz ma jedynie ten cel, żeby usunąć jeszcze gorszych wrogów religji i uchronić Kościół i państwo od jeszcze większej szkody.

4. Jeżeli gdzie odbywają się wybory ściśle po wyborach głównych, roztropność katolikom może nakazać, żeby katolicy do wyborów walnych wystawili własnych kandydatów, albo listy kandydatów, choć będą to tylko kandydatury do obliczania; dopiero przy wyborze ścisłym katolicy mogą głosować wtedy na partję neutralną pod względem religijnym, albo antyreligijną wprawdzie, ale umiarkowaną w porównaniu z inną: wówczas bowiem może się udać obalenie radykalniejszych wrogów religji. Tu i ówdzie może być korzystne, albo wprost konieczne, żeby katolicy publicznie zadokumentowali, jakie żądania podnoszą w życiu politycznem.

Którą z tych dróg należy obrać w konkretnym jakimś wypadku, tego nie można określić za pomocą ogólnych zasad; właściwe postępowanie będzie musiało być po-

dyktowane dokładną znajomością położenia, polityczną mądrością i doświadczeniem. Może bowiem zająć wypadek, że katolicy będą musieli stanąć już do głównych wyborów i przy nich głosować na partję pod względem religijnym neutralną, albo wprawdzie antyreligijną, ale w porównaniu z innemi jeszcze umiarkowaną; w przeciwnym razie nie osiągną oni swego celu, żeby czyto wogóle nie dopuścić do władzy wrogów religji, czy też przynajmniej unieszkodliwić najgorszych jej wrogów; cóż bowiem pomoże udział w wyborze ścisłym, jeżeli już wybór walny wrogom religji przyniósł zwycięstwo, którego by nie byli odnieśli, gdyby się katolicy albo nie byli wstrzymywali od głosowania, albo gdyby byli wystąpili z własnymi kandydatami?

5. Nowoczesne prawa wyborcze pozwalają na to, żeby dwie partje lub więcej szły razem do wyborów i wystawiły t. zw. „jednościowe listy“, czyli jedną tylko listę z nazwiskami kandydatów różnych partyj. Żeby partja chrześcijańska mogła do wyborów stawać wspólnie z partją antyreligijną, i żeby katolicy mogli głosować na takie wspólne listy, po temu musi zachodzić prawdziwa konieczność, oraz muszą istnieć dostateczne gwarancje, że antyreligijna partja koalicyjna na czas trwania koalicji zrezygnuje ze swego antykościelnego programu kulturalnego.

IX.

Religja i jedność katolików w życiu politycznem.

Musimy jeszcze pomówić o jednej powinności katolików w życiu publicznem; jest nią obowiązek jedności i zgody.

Mówimy o tym obowiązku na ostatku, ale obowiązek sam nie tylko nie jest ostatni, lecz jest pierwszy i najważniejszy: w jedności katolików w życiu publicznem tkwi tajemnica ich powodzenia. O obowiązku jedności i zgody trzeba mówić tem bardziej, że jesteśmy narodem bardzo skłonny do chodzenia samopas, do niezgody, do rozbijania się na partje i na partyjki. Nadto są także pewne czynniki zewnętrzne, które starają się albo rozbić obóz katolicki, albo, co gorsza, wmówić w katolików, że

lepiej będzie, jeżeli się przestaną zajmować polityką. A tak mówią nie tylko świeccy, lecz także księża, mimo, że w niejednym kraju polala się już i jeszcze się leje, krew chrześcijan, mimo, że całe dziedzictwo chrześcijańskie narodów jest zagrożone. Nie przeczymy, że ci, co katolikom doradzają, żeby się wycofali z życia politycznego, powodują się dobrą wiarą i szczerą chęcią, musimy jednak powiedzieć, że obiektywnie takie poczynania i „rady“ są zbrodnią przeciwko jedności obozu katolickiego. Osłabić jakąś partję, rozbić ją albo zgola zniszczyć, jest bardzo łatwo, ale niełatwo, ba nieskończenie trudno w miejsce utraconej wielkiej partji wydeptać z ziemi partję nową, wielką, któraby miała to samo znaczenie co tamta. A już zgola żadnych widoków powodzenia nie mogą mieć próby stworzenia nowej partji, jeżeli tego próbują ludzie, których cała robota i zdolność polityczna na tem polega, żeby budzić niezadowolenie wśród szerokich mas ludności, żeby głośno trąbić publicznie o rzeczywistych, czy zmyślonych pomyłkach po stronie katolickich funkcjonarjuszów partyjnych, żeby wrogów swoich politycznych piętnować jako zdeprawowanych moralnie i zginiłych wewnętrznie, a samych siebie i swoich adoratorów z pokorą, która jest wdruszająca, wysławiać jako wzór uczciwości, rozumu i sprytu. Może bezwiednie, ale faktycznie tacy rozbijacze jedności katolickiej postępują w myśl liberalnej i socjalistycznej zasady, która głosi, że wszystkim obywatelom w polityce wolno robić, co się im żywnie podoba, jak gdyby w życiu publicznem nie obowiązywały żadne moralne względy sprawiedliwości, miłości i zgody. Jeżeli takie próby rozbijania jedności katolickiej robi się tuż przed wyborami, albo wśród walki wyborczej, to brak mi już słów, żeby takie postępowanie nazwać tak, jak na to zasługuje. Bo nawet najbardziej zakuty łeb powinien zrozumieć, że w kilku miesiącach lub tygodniach walki wyborczej niepodobna stworzyć partji, któraby miała jakie takie znaczenie. Jedynym wynikiem takiej walki może być tylko to, że się od politycznej organizacji katolików odciągnie szereg zwolenników, a wielu innych pod wpływem rozgoryczenia wogóle nie stanie do wyborów. Nieuniknionym skutkiem takiej roboty jest potem to, że interesy katolickie doznają ciężkiej szkody, i że się pomaga sprawie przeciwników, bo się wzmacniają ich wpływy, gdyż zyskują oni szereg

mandatów, którychby nigdy nie byli zdobyli, gdyby katolicy byli zgodni. Ostatnie wybory w Niemczech i w Austrii były tego dowodem. Czegoż jeszcze potrzeba, jakie klęski muszą jeszcze spaść na katolików, żeby zrozumieli, iż trzeba, koniecznie trzeba na zawsze zażegnać ducha niezgody, i że w życiu politycznym muszą katolicy iść razem, jeżeli chcą, żeby postulaty katolickie zostały spełnione?! Rozum i doświadczenie mówią, że jedność, to olbrzymia potęga, to gwarancja powodzenia i zwycięstwa. Jeżeli katolicy będą zjednoczeni politycznie, to żaden rząd nie będzie mógł rządzić bez oglądania się na nich, choćby i w mniejszości byli, bo wcześniej czy później i tak dojdą do znaczenia.

Jeżeli wśród katolików panuje jedność, wówczas każdy chętnie będzie z nimi współpracował, i w szeregi ich wejdzie życie, zapał, ofiarność i poświęcenie aż do heroizmu; ludzie wtedy chętnie agituja i nie łatwo ustępują przed wrogami.

Jeżeli natomiast katolicy są rozbici i zwalczają się wzajemnie, wówczas ujawniają się fatalne skutki. Walka we własnym obozie osłabia odporność nerwową i uczuciową; ludzie rozgoryczają się i zniechęcają, i wiele obiecujących sił idzie na marne...

Czy jeszcze nie pojmujemy, że nam nigdzie tak bardzo nie potrzeba jedności i zgody, jak w obronie religji i spraw religijnych? Czyśmy się jeszcze nie przekonali, że wrogowie Kościoła, choć się między sobą nie zgadzają i są podzieleni na tyle partyj, zawsze podają sobie ręce do zgody, skoro tylko chodzi o zajęcie stanowiska przeciwnego religji? Czy nie widzieliśmy tyle razy, że wtedy dziś jeszcze Piłat staje się przyjacielem Heroda?

W sprawach gospodarczych i socjalnych liberalizm jest zaciętym wrogiem socjalizmu. Ale niech tylko na porządek dzienny wejdzie jakaś sprawa przeciwko religji i jej postulatom, to natychmiast wszystkie partie i partyjki, na jakie się rozpadł liberalizm, w najpiękniejszej zgodzie stają obok partyj socjalistycznych i komunistycznych wszystkich odcieni. Takie fakty muszą przecież jakby młotem jakim wbić katolikom do głowy przekonanie, że przeciwko zwartemu szeregowi wrogów Kościoła tylko wówczas zdołają wskórać cośkolwiek, jeżeli sami także utworzą zwarty front obronny.

Dlatego, katolicy, bądźcie zgodni, zgodni, zgodni, także w życiu politycznem!

Polityczni łamacze jedności zazwyczaj mają trzy odpowiedzi, gdy się ich zapytamy, jakim prawem tak postępują. Jedni skarżą się, że dotychczasowe stronnictwo katolików nie spełniło tego, czego się od niego żądało lub spodziewało, albo co obiecywał jego program. Więc precz z niem! — Drudzy uważają, że stronnictwo to jest albo za mało, albo zanadto katolickie: więc precz z niem, albo z daleka od niego! — Inni znowu pokazują palcem na rozmaite błędy i pomyłki posłów katolickich i mówią, że cała partja jest do niczego, więc precz z nią, a inna niech przyjdzie na jej miejsce!

Czy to są powody, żeby rozbić i zniszczyć istniejącą partję i tworzyć nową? Zastanówmy się nad tem!

Mówią, że partja, która nie dotrzymała obietnic, powinna się rozejść. Ale czyż najprostsza sprawiedliwość nie nakazuje, żeby wprzód zbadano, czy to tylko wina partji i braku u niej dobrej woli, jeżeli nie spełniła danych obietnic, czy też inne jakie okoliczności, których partja nie zawiniła i za nie odpowiadać nie może, przeszkodziły jej w dotrzymaniu obietnic. — Nadto trzeba pamiętać, że co innego jest program partyjny, a znowu co innego jego przeprowadzenie. Program zawiera w szerokich zarysach obraz życia państwowego, jakiego partja chciała urzeczywistnić. Ile z tego programu potrafi urzeczywistnić, to zależy w zupełności od tego, w jakiej sile partja zdoła wejść do ciał ustawodawczych. Jeżeli posłowie należący do niej, w sejmie lub w senacie stanowią tylko mniejszość, bez której inne partje potrafią się obejść przy tworzeniu rządu, wówczas cały program tej mniejszości tymczasem tyle warta, co kartka zadrukowana różnemi życzeniami. Jeżeli natomiast inne partje, żeby mogły utworzyć rząd, potrzebują współpracy posłów katolickich, choćby ci stanowili nawet tymczasową mniejszość, wówczas już można coś przeprowadzić ze swego programu, albo przynajmniej można przeszkodzić niejednemu pociągnięciu antyreligijnemu, bo katolicy posłowie w zamian za wstąpienie do rządu, powinni domagać się zaniechania antyreligijnych kroków ze strony rządu. Czy się da uzyskać jeszcze coś więcej, to zależy od różnych okoliczności. Ale sąd i decyzję w tej sprawie trzeba pozostawić kierownictwu partji,

bo nikt inny nie jest tak dobrze poinformowany o stanie sprawy i ogólnej sytuacji.

W razie, gdy posłowie katoliccy tworzą najsilniejsze stronnictwo, należy znowu zadać sobie pytanie, czy stronnictwo to potrafi rządzić samo, bez pomocy innych partyj. Jeżeli partja posłów katolickich nie potrafi sama wziąć rządu w swoje ręce, wówczas może być mowa jedynie o częściowem przeprowadzeniu programu, bo żadna inna partja nie wejdzie do rządu, jeżeli się nie zrobi pewnych ustępstw na jej korzyść. W takich warunkach nie obejdzie się bez kompromisów, choćby się je nie wiedzieć jak wyśmiewało i szydziło z nich: polityka realna poprostu nie zna innej drogi, na którąby mogła wejść. Jeżeli kto potrafi wskazać inną i lepszą drogę, to niechże to powie, a może być pewny, że mu wdzięczny będzie cały świat katolicki.

Gdzie natomiast posłowie katoliccy są w liczbie tak wielkiej, że potrafią sami wyłonić rząd bez pomocy drugich, tam mogą oni z pewnością przeprowadzić te punkty programu, dla których wystarczy *zwyczajna* większość głosów, pod warunkiem atoli, że do tego nie potrzeba współdziałania także innych państw. Tu i ówdzie jednak nawet w takich wypadkach wskazana jest pewna wstrzeżliwość, żeby zapobiec wybuchom knoń rewolucyjnych.

Wszystko zaś inne, co nie może przejść bez większości *kwalifikowanej* (np. bez dwóch trzecich lub trzech czwartych głosów wszystkich posłów), nawet wtedy przez partję własnymi siłami przeprowadzić się nie da; jeżeli się wogóle cośkolwiek chce osiągnąć, trzeba znowu uzyskać pomoc partyj przeciwnych, którym trzeba poczynić pewne ustępstwa, z którymi trzeba zawierać „kompromisy“. A do postulatów, których spełnienie zależy od większości *kwalifikowanej*, prawie we wszystkich państwach należą właśnie t. zw. kulturalne postulaty, np. stosunek Kościoła do państwa, państwa do szkolnictwa, do małżeństwa, sprawa swobód obywatelskich i t. d.

Jeżeli więc ma nie być niesprawiedliwy zarzut, że katoliccy posłowie albo partje katolików nie dały tego, co obiecały, to w świetle naszkicowanych dopiero co możliwości pracy danej partji, należy wprzód stwierdzić, coby posłowie katoliccy byli mogli osiągnąć, a czego z własnej winy nie osiągnęli. Po przeprowadzeniu na-

prawdę sprawiedliwych i nieuprzedzonych badań w wielu wypadkach okaże się, że cały ów zarzut był niesłuszny i krzywdzący. Przypuśćmy jednak, że się okaże, iż posłowie ponoszą winę, czy z tego wynika, iż należy tworzyć nowe stronnictwo? Boże uchówaj! Z niedbalstwa posłów katolickich wynika tylko jeden wniosek, mianowicie: Precz z posłami niesumiennymi, względnie z nieudolnym kierownictwem partji, a na ich miejsce niech wejdą inni ludzie, pełni poczucia obowiązku!

Dopiero wtedy, kiedy partja, która programowo obiecuje obronę interesów katolickich, stale interesy te zdradza lub zaniedbuje, choćby ich była mogła strzec, dopiero wtedy katolicy mogą albo przystąpić do zakładania nowego stronnictwa, albo też przyłączyć się do jakiej innej partji.

Taksamo nie wart jest drugi zarzut, który się podnosi ze strony katolickiej przeciwko własnej partji. Mówi się mianowicie, że partja i posłowie są albo za mało katolicy, albo za dużo katolicy. Dlaczego? A, bo nie potrafili jeszcze wywalczyć szkoły wyznaniowej; nie potrafili położyć tamy panoszącej się demoralizacji przez kino, teatr i prasę i t. d.; za słabo bronią religji i urządzeń religijnych; za dużo mało zrobili dla polepszenia doli materialnej sług Kościoła; posłowie nie spełniają obowiązków religijnych; do partji przyjmuje się także niekatolików i powierza się im wysokie stanowiska w stronnictwie i w rządzie. Inni znowu to biorą za złe, że we wszystkich poczynaniach czysto katolickich wciąż muszą brać udział politycy i wygłaszać mowy, skutkiem czego polityka wciska się we wszystko, co jest katolickie.

Jest to więc, jak widzimy, bardzo barwny bukiet żalów, skarg i zarzutów, a moglibyśmy ich przytoczyć jeszcze więcej, gdybyśmy przejrżeli różne czasopisma, w których jest niestety dość takiego materiału, ale za to nie zawsze jest tam dość znajomości rzeczy, a czasem wcale niema poczucia sprawiedliwości dla partji chrześcijańskich.

Niechby sobie też ludzie raz nareszcie pozwolili powiedzieć, że partja polityczna, choćby się i nazywała chrześcijańska czy katolicką, to nie jest to samo, co Kościół katolicki, ani nawet Kościół katolicki danego kraju; polityczna partja katolików nie jest też ani żadnym zakonem, ani żadną kongregacją, ani żadnem bractwem

kościelnem; polityczna partja katolików wogóle nie jest żadną instytucją kościelną, lecz jest zrzeszeniem świeckiem, na które władza kościelna nie wywiera żadnego innego wpływu, prócz tego jednego, że czuwa nad tem, żeby się w niej nie działo nic przeciwko nauce wiary i obyczajów. Partja chrześcijańska czy katolicka nie jest przecież niczem innem, jak zrzeszeniem katolików danego kraju czy państwa na podstawie pewnego programu politycznego. Jeżeli program ten zawiera postanowienie, że w sprawach religijnych i mieszanych partja chce być posłuszną głosowi Kościoła, wówczas ze stanowiska religijno-moralnego program tej partji jest bez zarzutu. Ponieważ zaś każdy, kto się przyznaje do takiego programu partyjnego, może zostać członkiem partji, przeto łatwo zrozumieć, jakim sposobem członkami partji chrześcijańskiej mogą zostać nawet niekatolicy, a nawet ludzie nieochrzczeni: w tym celu wystarczy, żeby przyjęli chrześcijański program partyjny, a nie potrzeba wcale, żeby posiadali znamię chrztu albo katolickie wyznanie wiary, o ile partja sama w statutach swoich nie zechce ograniczyć członkostwa do katolików lub chrześcijan. To jednak zasadniczo nie jest potrzebne, bo trudno zrozumieć, dlaczego partja chrześcijańska lub katolicka miałaby odpychać niechrześcijan lub niekatolików i powstrzymywać ich, jeżeli jej chcą pomagać w obronie interesów chrześcijańskich i katolickich. Bo czego innego potrzeba, żeby ktoś był chrześcijaninem i katolikiem, a znowu czegoś innego, żeby mógł zostać członkiem np. partji chrześcijańsko-społecznej lub centrum; do tego wystarczy przystanie na program partji, do tamtego potrzeba czegoś znacznie większego. Z tego powodu niema się co lękać o katolicki charakter partji, gdyż po pierwsze nie zachodzi żadne niebezpieczeństwo, żeby do politycznej organizacji katolików miały przystać np. całe masy niekatolików, a po drugie kierownictwo partji zawsze ma możność zażegnania niebezpieczeństwa dla katolickiego charakteru partji.

Partja, która się przedstawia jako polityczne zjednoczenie katolików, powinna oczywiście strzec interesów wiary katolickiej, o ile to jest w jej mocy. Nie należy atoli zapominać, że do przeprowadzenia właśnie takich postulatów kulturalnych, jak szkoła wyznaniowa, ograniczenie wolności słowa żywego i drukowanego oraz innych

podobnych swobód, bardzo często potrzebna jest nie zwyczajna, lecz kwalifikowana większość głosów poselskich. Do czego więc potrzeba większości albo absolutnej albo kwalifikowanej, tego nie można żądać od takiej partji, która w sejmie lub w senacie stanowi tylko mniejszość albo która nie rozporządza taką większością głosów, jakiej według ustawy potrzeba do uchwalenia danych postulatów. Najpierw należy stwierdzić, co by mogła była osiągnąć partja lub jej posłowie. Dopiero, gdyby się okazało dowodnie, że posłowie nie tylko przez brak doświadczenia, lecz ze złej woli zaniedbali swego obowiązku, trzebaby ich potępić i zastąpić innymi, nie należy jednak zmieniać samej partji. Ale o tem już była mowa.

Najbardziej niedorzecznie postępują jednak ci, którzy korzystają z życia prywatnego chrześcijańskich funkcyjnarjuszów partyjnych i posłów, żeby z tego powodu krytykować partję i szarpać ją. Gorszą się oni tem, że politycy katolicy uczestniczą w uroczystościach kościelnych i obchodach religijnych, wykonują na nich funkcje i wygłaszają mowy: tym sposobem, mówi się, wszystko zamienia się w politykę, przesiąka polityką, zabarwia się politycznie.

Na miłość Boską, czy ci co tak mówią, nie czują, że już ulegli sugestji przez jakąś wiedeńską „Arbeiter-Zeitung”? A jakże to mają postępować posłowie katolicy? Czy może mają stronić od uroczystości kościelnych i obchodów religijnych? A toby dopiero spadały na nich gromy! Więc nie potępienie, ale serdeczne i gorące podziękowanie należy się tym posłom katolickim, którzy mimo, że na nich wylewają całe wiadra szyderstw i oszczerstw, nie wahają się wyznawać publicznie wiarę katolicką, objawiać na oczach wszystkich swoje przekonania i uczucia religijne, zaznaczać wobec świata, że gotowi zawsze stać w obronie interesów katolickich. Kto się obawia, że przez to polityka wciśnie się do religji, ten musi być chyba niespełna rozumu.

Czyżby katolicy naprawdę musieli ciągle iść na lepiadzaniny socjalistycznej? Wszak socjalna demokracja od dawna trzyma się tej taktyki, że politycznemi sprawami nazywa te wszystkie sprawy, o których pisze jej prasa, o których się podoba mówić na zebraniach partyjnych, choćby to były sprawy czysto religijne lub takie, które żywo obchodzą także religję.

Według socjalistów małżeństwo, szkoła, wychowanie młodzieży, moralność publiczna to są sprawy czysto polityczne; uroczystość Bożego Ciała jest demonstracją chadecką i t. d. Jeżeli potem księża zajmują się temi sprawami, głoszą o nich kazania, miewają odczyty, to zaraz krzyczą socjaliści w niebogłosy: „To jest polityka na ambonie, to jest nadużywanie religii dla polityki, kler nie robi, a tylko politykuje“. Każdy przecież od razu widzi, że wszystkie te krzyki oburzenia nie są niczem innem, jak tylko bardzo prostackimi i bardzo przejrystymi manewrami: ot, poprostu, socjaliści chcą mieć w ręku prosty i łatwy środek, żeby według widzimisię każdą sprawę, nawet czysto religijną, zepchnąć do rzędu roboty politycznej i jako taką zdyskredytować, by potem księżom zamknąć usta zapomocą straszaka, który mówi, że „polityki“ nie należy wynosić na ambone, bo ona tam nie należy. To wszystko dąży do tego, żeby się duchowieństwo odsunęło od posłów katolickich, żeby z nimi zerwało, żeby ich nie dopuszczało do obchodów religijnych, bo to podobno pachnie polityką w religii. Cel zawsze jest ten sam, a tylko taktyka się zmienia i środki, wiodące do celu. Posłów katolickich wyśmiewa się, że są klerykami i że idą na pasku księży i biskupów, a księżom zarzuca się, że wszystko, co robią, jest robotą polityczną: wszystko to zdąży do tego, żeby się politycy katolicy odsunęli od księży, a księża żeby się odsunęli od polityków i wycofali z polityki.

Niestety niektóre czasopisma dla księży, a także pewne sfery wśród duchowieństwa — jak się zdaje — także już pozwoliły się omamić przez tę taktykę socjalistyczną. Bo w przeciwnym razie nie działałoby się to, co się dzieje, że mianowicie tu i ówdzie z taką gorliwością odgranicza się duchowieństwo od polityków, religię od polityki, i niczego nie głosi się tak często, jak ten postulat, żeby się ksiądz zupełnie odsunął od polityki i życia politycznego. A przecież powinno się przynajmniej odróżnić „politykę“ od polityki, i powinno się przypominać, że kapłanowi nie wolno milczeć w żadnych sprawach życia politycznego i publicznego, które dotyczą dziedziny religii i moralności, lecz z obowiązku musi on być przywódcą ludu katolickiego w tych sprawach, czystą zaś polityczną robotę agitacyjną może zostawić ludziom świeckim, a czasem nawet zostawić musi.

Jeżeliby kler naprawdę miał spełnić „pobożne“ życzenie taktyków socjalistycznych i poszedł ślepo za głosem pewnych czasopism wiedeńskich, które rzuciły hasło: „Z daleka od wszelkiej polityki!“, gdyby to uczynił bez zastosowania zasadniczych odróżnień, któreśmy zaznaczyli wyżej, gdyby w stosunku do partji chrześcijańsko-społecznej zajął stanowisko neutralne, zimne, albo zgola nieżyczliwe lub wrogie, to Kościół i kler bardzo prędko odczułby na sobie zgubne skutki takiego postępowania. O tej sprawie jednak pomówimy przy innej sposobności.

„Między posłami katolickimi — tak mówią nam niektórzy — są także tacy, co nie spełniają swoich obowiązków religijnych!“ Być może, nie wiem, czy to prawda; a jeżeliby tak było naprawdę, tobym szczerze nad tem ubolewał. Nie rozumiem jednak, jakim prawem z tego powodu miałoby się rzucać gromy potępienia na partję, jako taką. Partja ani nie jest Kościołem, ani też do jej zadań nie należy urząd pasterski lub kierownictwo dusz. Partja ma tylko obowiązek dopilnować, żeby jej członkowie i funkcjonariusze przestrzegali programu partyjnego, trzymali się statutow partji i zachowywali karność partyjną; ktoby ciężko zawinił w tym względzie, tego partja winna wykluczyć ze swego łona; religijno-moralne życie prywatne członków zasadniczo nie należy do zakresu działania partji, bo troska o dusze nie jest powierzona partji, lecz Kościołowi. Skoro tedy można być dobrym członkiem partji, choćby się i kiepsko spełniało swoje obowiązki religijno-moralne, przeto może oczywiście zajść wypadek, że wśród członków i posłów partji chrześcijańskiej lub katolickiej znajdują się także tacy, którzy w życiu prywatnem nie są wzorowymi chrześcijanami, tak samo, jak między członkami Kościoła katolickiego jest wielu niestety takich, których życie prywatne nie zgadza się z ich wiarą. A skoro Kościół katolicki takich kiepskich katolików nie wyklucza ze swego łona, lecz pozwala im pozostawać nadal w szeregach swoich dzieci, to partja chrześcijańska lub katolicka właściwie nie ma powodu, żeby takich członków wykluczać. Przecież nie można żądać, żeby partja polityczna pod tym względem była bardziej surowa, aniżeli nawet sam Kościół katolicki. Partja o wady i przekroczenia swoich członków i funkcjonariuszów w życiu prywatnem dba jedynie o tyle, o ile to szkodzi ich działalności jako mandatarjuszom partji

i działalność tę podkopuje. O ileby coś podobnego zaszło, wówczas partja musi wyciągnąć konsekwencje i bez litości usunąć takich ludzi; tak np. chrześcijańska partja za żadną cenę nie może tolerować u siebie posła, któryby się dopuścił sprzeniewierzenia, dał się przekupić, żył w cudzołóstwie, lub miał t. zw. rozwódkę i podawał ją za swoją żonę. Dopóki jednak błędy w życiu prywatnem mandatarjuszów nie szkodzą interesom partji, dopóty partja nie powinna się niemi zajmować, bo partja — powtarzam to — nie jest duszpasterzem swoich członków.

Zastrzegam się jednak przeciwko wyciąganiu z moich słów fałszywego wniosku, jakoby twierdził, że partja przy obsadzaniu swoich urzędów, swoich mandatów, albo przypadających jej miejsc w rządzie nie potrzebuje się oglądać na życie prywatne kandydatów. Ktoby mi o to posądzał, dowiódłby, że mię źle zrozumiał.

Rozumie się bowiem samo przez się, że partja musi się starać o to, żeby kierownicze posterunki wedle możliwości obsadzać tylko takimi katolikami, których życie prywatne jest bez zarzutu. Bo tylko tacy dają dostateczną gwarancję, że będą wiernie stać na gruncie programu partyjnego i że mimo wszelkich pokus zachowają sobie ręce czyste. Tylko tacy członkowie, zarówno mężczyźni, jak kobiety, stanowią dla partji atrakcję, tylko tacy zdołają zyskać dla niej nowych zwolenników i członków, bo dowodzą nie tylko słowami, lecz także czynem, że obrona interesów katolickich nie jest dla nich tylko interesem i środkiem wzbożacenia się lub awansów, lecz sprawą przekonania i potrzebą serca.

Jeżeli się zdarzy wypadek, że partja w wyborze swoich funkcjonarjuszów popełniła pomyłkę albo jakiś jej członek przez partję wysunięty na czołowe stanowisko w życiu prywatnem nie spisał się należycie, wówczas od kierownictwa partji nie należy przecież żądać, żeby było bardziej surowe, aniżeli jest Kościół w stosunku do błędzących i grzeszących katolików. Takie żądanie byłoby rozpaczliwie podobne do wstrętnej faryzeuszostwa. W takich wypadkach partja postąpi sobie według zasad wyłożonych wyżej.

Przy ostatnich wyborach do Rady narodowej w Austrii agitowano za założeniem nowego stronnictwa i posługiwano się w tym celu najwięcej tym argumentem, że po-

słowie chrześcijańsko-społeczni nadużyli swego stanowiska i wzbogacili się.

Nie tu jest miejsce na badanie, ile w tem oskarżeniu było prawdy; choć z pewnością w trzech czwartych były to kłamstwa. To jednak jest pewne, że ten powód byłby najbardziej niedorzeczny z pośród wszystkich, żeby zburzyć partję i stworzyć na jej miejsce nową.

Bo, po pierwsze, przez to, że niektórzy posłowie coś tam przeszkrobali, przecież ani wszyscy nie są winni, ani też partja cała nie jest do niczego.

Ktoby taki wyciągał wniosek, ten nie byłby godzien, żeby z nim mówiono, lecz zasługiwałby jedynie na to, żeby go potępiłi wszyscy zdrowo i uczciwie myślący ludzie. Wszak wszyscy ludzie, myślący zdrowo i uczciwie, ze wstrętem odwracają się od człowieka, któryby chciał piętnować jako zdeprawowany i zepsuty cały stan nauczycielski, lekarski, adwokacki, duchowny, bo tu i ówdzie jakiś lekarz, jakiś nauczyciel, jakiś adwokat, jakiś ksiądz popełni coś niewłaściwego. Choćby zresztą i wszyscy mandatarjusze byli wplątani w skandale, o których się mówiło, to i tak jeszcze nie byłoby się miało prawa do tworzenia nowej partji, lecz tylko do zupełnie nowego obsadzenia mandatów.

Po drugie: złego nie naprawi się zapomocą utworzenia nowej partji. Bo nowa partja wcale nie daje większej gwarancji, aniżeli dawna, że jej posłowie będą to ludzie czystych rąk; wszak nowa partja będzie się znowu składać tylko z ludzi, a ludzie, jak to ludzie: każdemu się zawsze może coś przytrafić. Jeżeliby więc w takiej nowej partji zaszły znowu jakie skandaliczne sprawy, to należałoby ją także rozwiązać i zastąpić jakąś trzecią partją. To zaś doprowadziłoby poprostu do dziecinnej zabawki w zakładanie coraz to nowych partyj.

Jak niedorzeczne i nieuzasadnione jest rozbijanie starej partji i zakładanie nowej za to, że posłowie popełnili jakieś błędy, to się namacalnie okaże, gdyby się chciało taksamo postępować z innemi zrzeszeniami i związkami. Do jakich-żeby się doszło warjackich wniosków! Bo, czy mają być rozwiązane np. gminy, parafje, zakony i t. d., dlatego, że ich członkowie nie spisali się zawsze należycie, i czy z tego powodu trzeba tworzyć nowe gminy, parafje, zakony i t. p.? Przecież wówczas

nigdyby się nie skończyła niedorzeczność rozwiązywania starych, a tworzenia nowych związków!

Jak od Kościoła nie można żądać nic więcej ponad to, żeby z całą energią dbał o karność i porządek, a usuwał i tępił nadużycia, jeżeli się wkradną, tak też od partji politycznej można żądać tylko tego jednego, żeby w swoich szeregach przestrzegała z całą surowością porządku i karności, od funkcjonariuszów swoich domagała się „czystych rąk“, a występujących przeciwko temu bezwzględnie usuwała z posterunku. Jeżeli partja to czyni, wówczas spełnia ona swój obowiązek, a wszystko inne już nie leży w jej mocy.

Kto tylko powierzchownie przeczyta to, co się tu powiedziało pod adresem szkodników jedności politycznej wśród katolików, ten mógłby odnieść wrażenie, jakobym obstawał za uwiecznieniem, czyli petryfikacją pewnej partji czy kliki politycznej, i jakobym uważał, że wszelkie tworzenie nowego stronnictwa katolików ze względów religijnych jest niedopuszczalne i zakazane. Niema nic bardziej fałszywego nad taki wniosek z moich słów. Moje bowiem wywody dotychczasowe dotyczą tylko owych trzech argumentów, któremi się posługują zwolennicy założenia nowego stronnictwa katolików. Robotę tę uważam za nader szkodliwą dla jedności w obozie katolickim, i dlatego starałem się wykazać, czy i kiedy na podstawie takich argumentów byłoby usprawiedliwione założenie nowego stronnictwa. Rozważywszy wszystkie racje za i przeciw, doszedłem do przekonania, że dotąd nikt nie udowodnił potrzeby stworzenia nowej partji politycznej dla katolików. Nie wchodziłem tutaj w kwestję, czy jakie inne racje, oprócz przytaczanych, nie przemawiałyby za nową polityczną organizacją katolików. Tej kwestji anim nie dotknął, ani jej dotykać nie chcę, bo w tym celu trzeba by napisać osobną rozprawę. Zaznaczam jednak zgóry, że oczywiście mogą zajść takie okoliczności, iż nowy polityczny porządek rzeczy wśród katolików, okazałby się bądź pożytecznym, bądź też może nawet koniecznym. Może się bowiem stać, że program istniejącego stronnictwa katolików już nie będzie odpowiadał zmienionym warunkom czasu; może się okazać, że interesy niektórych zawodów wśród katolików nie były należycie zabezpieczone przez dotychczasową polityczną organizację i t. d. Zanim się jednak w takich wypadkach przystąpi do za-

kładania nowego stronnictwa, należy przecież dołożyć wszystkich starań, żeby program istniejącej partji został dostosowany do zmienionych warunków, żeby wszystkie stany były w niej odpowiednio uwzględnione i t. p. Dopiero kiedy wszystkie wysiłki w tym względzie okażą się daremnymi, dopiero wówczas możnaby ostatecznie pomyśleć o założeniu nowego stronnictwa.

Nie jestem jednak zwolennikiem petryfikacji jednej partji politycznej albo zgoła pewnej klikii politycznej; z całą atoli siłą i z pełnem przekonaniem obstaruję za ciągłością także w politycznej organizacji katolików. Idealem jest i będzie zawsze zjednoczenie wszystkich katolików *w jednym* stronnictwie politycznem. Polityczna bowiem siła uderzenia katolików jest całkiem inna, bez porównania potężniejsza wówczas, gdy są zjednoczeni w jednym stronnictwie, aniżeli wówczas, gdy są rozbici na kilka partyj, które co prawda mają tensam program ideowy, ale co do reszty interesów często się zwalczają i naturalnie osłabiają skutkiem tego.

Gdzie więc istnieje jednolita organizacja katolików na całe państwo, tam należy dołożyć wszelkich starań, żeby ją utrzymać, i wyteżyć wszystkie siły, żeby ją rozbudować jak najszerzej. A zdaje się, że na gruncie chrześcijaństwa przy dobrej woli wszystkich czynników, które wchodzą w grę, takie dzieło powinoby się udać. Gdyby zaś interesy wśród katolików jakiegoś kraju były tak sprzeczne, żeby ich nie można pogodzić, wówczas należy przecież zachować jeden front ideowy, a w sprawach gospodarczych, ekonomicznych, społecznych niechby się już chadzało własnymi drogami. Innemi słowy: Niechby sobie i powstawały różne stronnictwa katolików, żeby w sprawach gospodarczych, społecznych, finansowych kroczyć każde swoją drogą, ale w sprawach ideowo-kulturalnych niechby też, na miły Bóg, nie było różnic w ich programach. Takie rozbitcie katolików jest czemś *złym*, bo w ten sposób przepada jedność polityczna, ale jest przynajmniej *mniej* złem, bo zapobiega ono przynajmniej odpadaniu wielu katolików do partyj pod względem religijnym obojętnych, jeżeli nie wrogich. W każdym razie zadanie kleru nie powinno polegać na tem, żeby przykładać ręki do tego zła, lecz przeciwnie, powinien on je wedle możności zażegnawać. Polityczna bowiem jedność katolików jest dobrem tak wielkiem, że powinno

się jej bronić „zębami i pazurami“, przeciwstawiając się z całą energią wszystkiemu, coby tę jedność mogło naruszyć lub rozluźnić. Dlatego należy bez pardonu pozbyć się wszystkich burzycieli jedności i wykluczyć ich ze stronnictwa, a także ze szeregów tych katolików, którym naprawdę leżą na sercu interesy ich religji i którzy serjo chcą tych interesów bronić. Albowiem ci, co kopią dolki pod jednolitym frontem katolickim, nie są wcale tymi opatrznosciowymi mężami, za jakich się podają, lecz są to ludzie ślepi, i tylko ślepi mogą się poddać ich komendzie.

Kiedy w roku 1925 chrześcijańscy posłowie austriaccy z października urządzili pielgrzymkę jubileuszową do Rzymu, Ojciec św. Pius XI do zebranych polityków przemówił bardzo gorąco, nawołując ich do jedności i zgody. Przypomniał im piękne słowa wielkiego Schillera z dramatu „Wilhelm Tell“: „Bądźcie zgodni, zgodni, zgodni!“ i przypomniał, że także Pan Jezus prosił Ojca Swego niebieskiego o tę zgodę i jedność na świecie, gdy w ostatniej Swej modlitwie wyrzekł słowa: „Ut sint unum“ — aby byli jedno. A co się odnosi do posłów katolickich, to dotyczy wszystkich katolików. Kończę tedy wezwaniem i prośbą: „Zachowajcie jedność, jedność, jedność!“

DODATEK I.

(„Allgemeine Rundschau“ 1929, Nr. 8).

„Już przed dwoma laty przywódca ruchu t. zw. „Neu-land“ w Austrii, Dr Michał Pfliegler, wywołał zdziwienie, kiedy wystąpił z próbą wyniesienia dyskusji na temat stosunku katolicyzmu do socjalizmu, zwłaszcza do austriackiego marksizmu, z kurzu walk politycznych w sferę bardziej uduchowioną, w szczególności zaś zrozumienia skarg mas socjalistycznych, i to w interesie duszpasterstwa. Zagadnienie, któremu na imię „*Kościół a proletarijat*“, Pfliegler uznał za jedno z najbardziej piekących. Tym swoim myśłom dał on wyraz na łamach czasopisma p. t.: „Der Seelsorger“. Dlatego prasa socjalistyczna chętnie powoływała się na niego, jakoby stał po stronie socjalizmu. Tem ciekawsze jest dowiedzieć się, co Pfliegler teraz ma do powiedzenia na temat aktualnego obecnie zagadnienia stosunku katolicyzmu do socjalizmu, względnie na temat możliwości socjalizmu katolickiego. Słowa jego w tej sprawie znajdują się, według dziennika „Bayer. Kurier“ w dodatku do wiedeńskiego miesięcznika „Volkssseele“, noszącym tytuł „Quatemberstimmen“ z dnia 1. lutego 1929 r.

Oto one:

Dlaczego dzisiaj musimy odrzucić możliwość wstępowania katolików do partji socjalistycznej?

X. Dr. Pfliegler tak odpowiada na to pytanie:

1. Ponieważ program tej partji jest wrogi Kościołowi i religji. Według tego programu religja w życiu publicznem nie ma nic do czynienia. Państwo ma się stać pogańskim. Nauka religji ma być wykreślona z planu szkolnego. Poza szkołą związkom religijnym można przyznać prawo nauczania religji. Wydziały teologiczne na uniwersytetach mają być zniesione. Dobra kościelne mają być

pozabierane. Mordowanie dzieci jeszcze nieurodzonych ma być ustawowo dozwolone i uregulowane.

2. Ponieważ partja socjalistyczna dotąd wszędzie działa destrukcyjnie pod względem religijnym.

3. Ponieważ socjalizm dotąd wszędzie tam, gdzie się dorwał rządów, jak np. w Rosji i w Meksyku, zrzucił maskę i okazawszy się tem, czem jest, publicznie i programatycznie występuje przeciwko religji.

Partja socjalistyczna całem swoim postępowaniem zmusza Kościół do stawania w obozie jej wrogów, a potem mu zarzuca, że jest wrogiem klasy pracującej. W swej agitacji stanowisko Kościoła socjalizm tłómaczy całkiem fałszywie w ten sposób, że wmawia w masy, jakoby Kościół występował przeciwko sprawiedliwym żądaniom robotników. Tymczasem faktycznie Kościół zawsze obstawał za takimi żądaniami. Ale dzisiejszy socjalizm nadużywa sprawy robotników i ich wielkich organizacyj do walki przeciwko religji pozytywnej i przeciwko Kościołowi, i dąży do celów politycznych, które nie mają nic wspólnego z oswobodzeniem robotników.

Dlatego dzisiaj żaden katolik nie może wstąpić do partji socjalistycznej.

Dr. Pfliegler jednak nie poprzestaje na takim odmownem stanowisku, lecz stawia pozytywne żądania, pisząc między innemi tak:

„Nie wolno nam jednak zatrzymać się na stanowisku odmownem, i nie wolno nam myśleć, żeśmy już spełnili swój obowiązek, powiedziawszy w tej sprawie: „Nie“.

Nowy stan, stan robotniczy, chce sprawiedliwości, chce uczestniczyć w dziele w miarę swej pracy. Chce zabezpieczenia życia sobie i swej rodzinie. Dzisiaj katolik, który się nie chce sprzeniewierzyć Kościołowi, nie może wstąpić do partji socjalistycznej. Przy pomocy osobnego ustawodawstwa społecznego i przez działalność społeczną musimy doprowadzić do tego, żeby nikt przynależności do tej partji nie odczuwał jako musu. W przeciwnym razie jesteśmy współwinowajcami, jeżeli ludzie religijni po długiem daremnem czekaniu i ciężkich walkach wewnętrznych wstępują do partji socjalistycznej, która ich potem celowo odciąga od Boga i Kościoła. Pan Bóg musiałby się kiedyś u nas upomnieć o ich dusze“.

DODATEK II.

Autor niniejszej rozprawy kwestję stosunku religii, względnie duchowieństwa, do życia publicznego, w szczególności do polityki, roztrząsa w dalszym ciągu w tym samym kwartalniku, w którym ukazały się jego artykuły przełożone przez nas w niniejszej broszurze. Mianowicie w bieżącym roczniku LXXXII. (na r. 1929) „Theologisch-praktische Quartalschrift“ w Linciu nad Dunajem ogłasza on znowu szereg artykułów pod wspólnym tytułem „Klerus und Politik“ („Duchowieństwo a polityka“). W chwili, kiedy niniejsza broszura opuszcza prasę drukarską, ta jego rozprawa jeszcze nie jest ukończona. Ze względu na doniosłość jego wywodów, podajemy w tym dodatku treść tych artykułów, które się dotąd ukazały. Czynimy to tem bardziej, że nasza publicystyka już się zajęła myślami X. Dra Koplera i spowodowała żywą wymianę zdań na temat potrzeby i możliwości politycznej organizacji katolików w Polsce ¹⁾.

X. Dr. Kopler, stwierdziwszy, że stanowisko, zajęte przez wiedeńskie czasopismo „Der Seelsorger“, iż czynny duszpasterz, zwłaszcza wielkomiejski, winien stać z dala od wszelkiej publicznej działalności partyjno-politycznej, żeby sobie nie utrudniać albo zgoła nie uniemożliwiać pracy duszpasterskiej, że stanowisko to pokrywa się ze stanowiskiem, zajmowanym dotąd przeważnie tylko przez antyreligijny liberalizm, nie podzielanem jednak ani przez olbrzymią większość ludności katolickiej ani przez duchowieństwo, stawia sprawę w ten sposób: *Czy praca duszpasterska, wykonywana tak, jak wykonywana być musi w dzisiejszych stosunkach, na duchowieństwo nakłada obowiązek wstrzymania się od wszelkiej działalności politycznej, czy też raczej nie domaga się od niego, żeby się energicznie zajęło sprawami politycznymi, a nawet, w razie ko-*

1) Ob. „Gazeta Kościelna“ Nr. 22 z r. 1929.

nieczności, kierowało nimi? Odpowiedź na tak sformułowane pytanie — oświadcza autor — nie może wypaść krótko w ten sposób, iżby na pierwszą część należało powiedzieć „tak“, a na drugą „nie“. To byłoby zanedo wielkiem uproszczeniem sprawy, i nie odpowiadałoby doniosłości zagadnienia. A zagadnienie to wymaga, żeby zaraz na początku uczyniono różnicę podstawową między religijno-moralnymi zasadami i obowiązkami, których należy święcie przestrzegać także w życiu politycznem, a polityczną pracą organizacyjną i agitatorską. Odpowiedź na powyższe pytanie będzie tedy zależeć od tego, który z tych dwóch czynników będzie się miało przed oczyma. Określiwszy w ten sposób swoje zasadnicze stanowisko, X. Koplewypowiada następujące tezy:

**1. Duszpasterz z obowiązku jest nauczycielem i przywódcą
ludu we wszystkich religijno-moralnych sprawach życia
politycznego.**

Skąd to pochodzi, że katolicy, i to dobrzy katolicy, nawet członkowie bractw i sodalicyj, najspokojniej w świecie głosowali na socjalistów, czyli na stronnictwo wyraźnie wrogie wierze i Kościołowi? Czynili oni to niezawodnie w dobrej wierze, ale to było możliwe tylko dlatego, ponieważ wyborcy ci nie byli uświadomieni albo o obowiązkach katolika w życiu politycznem, albo o wrogiem dla religji stanowisku socjalnej demokracji. Brak zaś tego uświadomienia jest z winy także duchowieństwa. Kiedy bowiem partje antyreligijne bezustanku „obrabiają“ społeczeństwo w tym kierunku, że polityka zajmuje się rzekomo czysto świeckimi sprawami, do których nie powinna się ponoć mieszać religja, ze strony duchowieństwa nie czyniono dość, żeby kłamstwo to zdemaskować w myśl zasad wyłożonych w niniejszej broszurze, i żeby szerokie masy ludności pouczyć o obowiązkach katolików w odniesieniu do życia publicznego. To się powinno zmienić, i praca uświadamiająca musi być o wiele intensywniejszą. Bo gdzie chodzi o religijno-moralne obowiązki katolików w publicznem, a specjalnie w politycznem życiu; gdzie zagadnienia życia publicznego dotyczą katolickiej wiary i moralności, Boskiego albo kościel-

nego prawa, — tam kapłanowi nie wolno „usuwać się od polityki“, ale jest jego świętym obowiązkiem, od którego nikt nie może go dyspensować, być doradcą, nauczycielem i wodzem katolickiego ludu.

Trzeba więc pracy oświatowej w tym kierunku.

Gdzie ma się wykonywać ta praca oświatowa? Skoro chodzi tutaj o wykład prawd religijnych i obowiązków moralności chrześcijańskiej, względnie o przestrogę przed dążeniami antyreligijnymi, przeto *właściwie* praca ta uświadamiająca powinna się odbywać w kościele. To nie jest wcale politykowaniem w kościele, to nie jest nadużywaniem ambony do celów politycznych, lecz tylko głoszeniem tych prawd religijnych i tych prawideł moralnych, których trzymać się winien chrześcijanin w życiu politycznym. Jak duszpasterz z ambony powinien pouczać dzieci o ich obowiązkach względem rodziców, służbę o jej obowiązkach względem chlebodawców, podwładnych wobec przełożonych, obywateli wobec państwa i na odwrót, tak też winien on wykladać moralne zasady, według których należy korzystać z prawa wyborczego, tworzyć polityczne stronnictwa i organizacje i należeć do nich, uczestniczyć w życiu publiczno-politycznym i t. d. Jak duszpasterz obowiązany jest z ambony wskazywać wiernym niebezpieczeństwa, które grożą ich wierze i moralności, tak też winien on na ambonie zabrać głos, gdy pod płaszczykiem partyj politycznych i systemów gospodarczych przemycą się nauki przeciwne wierze katolickiej i podkopuje wiarę i obyczaje.

To stanowisko nie sprzeciwia się zakazowi encykliki „*Humani generis*“ Benedykta XV. wnoszenia spraw politycznych na ambonę. Zakaz ten bowiem dotyczy oczywiście tylko spraw czysto politycznych, a nie odnosi się do prawd i obowiązków religijnych, z którymi należy się liczyć także w życiu politycznym.

Czy jednak w takim razie przeciwnicy nie będą narzekać na nadużywanie ambony? Nie, jeżeli, duszpasterz do tej pracy zabierze się mądrze i roztropnie, i jeżeli temat swój będzie traktował jedynie i wyłącznie ze stanowiska religijnego, a za wszelką cenę unikał zbaczania na tory czysto polityczne. Tylko w jednym wypadku roztropność nakazuje wstrzymać się od słusznego w zasadzie

omawiania tych obowiązków religijno-moralnych w kościele, mianowicie wówczas, jeżeli fale na morzu życia politycznego są tak spiętrzone i wzburzone, i umysły tak poruszone i roznamiętnione, że należy przewidzieć, iż wszelkie pouczenie zamiast pomóc, mogłyby tylko zaszkodzić. Ale w tym wypadku duszpasterz wstrzyma się od spełnienia w takich warunkach swego obowiązku nauczania jedynie przez roztropność, nigdy zaś ze względów zasadniczych, jakoby mianowicie sprawy takie zasadniczo nie należały do kościoła i na ambonę.

Nieprawdą jest, co niektórzy mówią, jakoby takie uświadamianie i tak miało nie nie wskórać. Bo „*gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo*“. Trzeba tylko pracować i nie zrażać się, a „*labor improbus omnia vincit*“.

Oczywiście sama praca oświatowa w kościele nie wystarczy, lecz trzeba tę oświatę szerzyć także w stowarzyszeniach, bractwach, za pomocą prasy codziennej i tygodniowej, ulotek i t. p., oraz przez wyszkalanie mężów zaufania. Zresztą obojętne jest, gdzie i jak się będzie odbywać ta praca uświadamiająca, najważniejsze jest to, żeby w pracy oświatowej nie ustawać.

Niesłuchanie ważny jest postulat X. Koplera, żeby uświadamiania ludności nie odkładano tak długo, aż zostaną rozpisane wybory. Nauczanie ludności, jak się ma orjentować w życiu politycznem pod względem religijno-moralnym, ma się odbywać wtedy, kiedy do wyborów jeszcze daleko.

2. Duszpasterz, a partyjno-polityczna praca organizacyjna i agitacyjna.

O wiele trudniejsza jest odpowiedź na pytanie, które X. Kopler egzemplifikuje w ten sposób:

Wstawmy się w położenie proboszcza czy to w mieście, czy w okręgu przemysłowym, czy wreszcie na wsi. Czy będąc duszpasterzem, ma on nie tylko nie należeć do żadnego stronnictwa antyreligijnego (co się samo przez się rozumie), lecz stać z dala także od tych stronnictw, które są przychylnie usposobione dla religji, czyli czy n. p. w Austrii ma nie należeć do partji chrześcijańsko-społecznej, w Bawarii do stronnictwa ludowego, a w innych częściach Niemiec do centrum? Czy, żeby pokazać

parafjanom, iż jest bezpartyjny, ma on patrzeć spokojnie na to, żeby partje antyreligijne w jego parafji rozwijały taką samą działalność jak partje sprzyjające religji, i czy ma ani nie wystąpić przeciw tamtym, ani też nie pomagać tym drugim, jedynie dlatego, żeby nie uchodził za zwolennika jednych a wroga drugich i był uważany li tylko za duszpasterza? Czy więc ma całkiem spokojnie i obojętnie patrzeć na to, jak w jego parafji partje antyreligijne odbywają zgromadzenia, agituja, zakładają grupy miejscowe, i czy ma nie okazać swej sympatji i użyć poparcia partji życzliwej dla Kościoła i religji, gdy ona w jego parafji robi to samo, co tamci? Czy wolno mu dokładać starań, żeby jego parafjanie nie dostali się pod wpływ stronnictw antyreligijnych i czy wolno mu w tym celu założyć w swej parafji dla parafjan organizację chrześcijańską, jeżeli jej tam jeszcze niema, a jeżeli już jest, obstawać za nią i dołożyć starań, żeby się ona tak rozbudowała, iżby objęła wszystko, co w parafji jest katolickie i myśli po katolicku? Czy wobec tego duszpasterz może i powinien zorganizować parafjan w chrześcijańskiej partji politycznej i w tym celu zwoływać zebrania, odbywać konferencje, wybierać mężów zaufania i szkolić ich, żeby potrafili pracować porządnie i stawić czoło robocie partji antyreligijnej?

X. Kopler na tak postawione pytanie odpowiada, że zdawałoby się, iż kto to pytanie tak stawia, ten temsamem daje na nie odpowiedź. X. Kopler oświadcza jednak, że takie załatwienie sprawy byłoby nierozważne i świadczyłoby, że zabrakło zastanowienia.

W dalszym ciągu pod adresem czasopisma „Seelsorger“, które na powyższe pytania odpowiada w tym sensie, że duszpasterz, zwłaszcza wielkomiejski, powinien wstrzymać się od wszelkiej publicznej działalności partyjno-politycznej, zaznacza X. Kopler, że „Seelsorger“ to, co może być wskazane n. p. w Wiedniu z powodu zgola anormalnych stosunków, jakie tam zapanowały, nieopatrzenie przenosi na stosunki normalne, zwykłe i przeciętne, i z tego swojego stanowiska czyni zasadę, co jest oczywiście niesłuszne.

W normalnych tedy warunkach w tej sprawie należy się trzymać — według X. Koplera — następujących prawideł:

1. Wszędzie tam, gdzie proboszcz i jego współpracownicy są zadaniami i obowiązkami bezpośredniego duszpasterstwa tak zajęci, że tylko z zaniedbaniem swoich prac duszpasterskich mogliby rozwijać partyjno-polityczną działalność (oczywiście tylko w stronnictwie, opartem na zasadach katolickich), — tam powinna ta ostatnia zupełnie ustać.

2. Gdzie namiętności polityczne tak są podniecone, a walka polityczna z taką gwałtownością i nieprzebierniem w środkach jest prowadzona, że zwolennicy poszczególnych partyj uważają się nie tylko za przeciwników rzeczowych, ale i za osobistych wrogów, zwalczając się nawzajem z całą zawziętością, — tam zakazuje się wszelkiej partyjno-politycznej pracy, jak długo trwa ten stan politycznej gorączki.

3. Gdzie istnieje dwie lub więcej partyj, których program i działalność ze stanowiska religijno-moralnego jest bez zarzutu, — tam niech duszpasterz nie występuje za jedną, zwalczając inne, tylko niech odnosi się do nich z jednakową życzliwością, nie dopuszczając do walk między nimi, starając się natomiast, jeśliby to było możliwe, o ich połączenie.

4. Gdzie duszpasterz ma dosyć ludzi świeckich, którzy chcą i mogą oddać się pracy partyjno-politycznej, — tam niech im pozostawi całą tę pracę; on zaś sam niech będzie tylko ich kierownikiem w sprawach religijno-moralnych, niech im radą i czynem służy w sprawach politycznych, niech ich według możliwości popiera, — nie wysuwając się jednak pod względem politycznym na czoło.

5. Gdzie polityczna organizacja katolików jest konieczna i gdzie jej ludzie świeccy nie przeprowadzają, dlatego, że im brak możliwości albo dobrej woli, — tam powinien do tej pracy zabrać się duszpasterz jako duszpasterz, jeżeli tylko przez najbezpośredniejszą pracę duszpasterską nie doznaje w tem absolutnej przeszkody.

6. Jeżeli Ojciec św. lub biskupi wydali gdzie osobne rozporządzenia o stosunku duchowieństwa do stronnictw politycznych albo do działalności partyjno-politycznej, wówczas, rzecz jasna, do przepisów tych należy się zastosować. Gdzie zaś takich rozporządzeń niema, tam duszpasterze sami po sumiennem rozpatrzeniu położenia i stosunków, mając jedynie dobro dusz przed oczyma, muszą postanowić, co należy czynić i jak się zachowywać.

Jeżeli chcemy zapobiec należeniu szerokich mas ludności katolickiej do stronnictw wrogich Kościołowi, — to musimy mieć dla nich koniecznie polityczną organizację, opartą na zasadach katolickich. Bez takiej politycznej organizacji katolików nie na wiele przydadzą się zakazy należenia do stronnictw wrogich Kościołowi. Wiadomo, jaką ważną rolę w życiu nowoczesnego państwa odgrywa polityka. I jeżeli dzisiaj wszystkie ugrupowania społeczne, religijne i narodowe szukają zastępstwa swoich spraw w tem czy owem stronnictwie politycznem — to i dla katolików istnieje podobna konieczność i potrzeba, jeżeli nie chcą pozostać w tyle i narazić na niebezpieczeństwo swoich spraw religijnych, gospodarczych, społecznych i towarzyskich. Kto dzisiaj na forum parlamentarnem, gdzie się uchwała nietylko ustawy gospodarcze, wojskowe i t. p., ale także ustawy, dotyczące religji, Kościoła, moralności, będzie bronił stanowiska Kościoła w tych sprawach, jeżeli nie katolicy i to politycznie zorganizowani, bo tylko wtenczas głos ich będzie miał znaczenie, — z masą bowiem niezorganizowaną nikt się nie liczy? Na niczyją opiekę i pomoc nie można pewnie i stale liczyć — prócz pomocy oczywiście Bożej — jak tylko na własną. Organizacjom i stronnictwom złym i szkodliwym musimy przeciwstawić organizacje i stronnictwa dobre, i jeżeli ich świeccy nie chcą czy nie mogą tworzyć — to do tej pracy musimy się zabrać my kapłani, jeżeli nie chcemy, by wierni zasilali obozy wrogów Kościoła, by swoje głosy przy wyborach do ciał parlamentarnych czy wyborach gminnych oddawali na nich, by powoli stygli we wierze, a czasem ją zupełnie tracili.

Przypominam tu walkę z socjalizmem i komunizmem. Papieże i biskupi potępiali je i zakazywali do nich należeć. Czy to wystarczyło? Nie! Dlatego Leon XIII polecił zakładać katolickie związki robotnicze, i gdyby nie one — to dziś robotnicy byłiby niemal wyłącznie w organizacjach socjalistycznych i komunistycznych, jak się to u nas niestety dzieje, gdzie nawoływania Leona XIII nie wywarły większego wrażenia.

W Austrii obserwujemy zjawisko, że tylko przez powstanie katolickich towarzystw opieki nad dzieckiem wstrzymano niebывały rozwój socjalistycznej organizacji „Przyjaciół Dzieci“, że tylko przez katolickie stowarzyszenia pogrzebowe powstrzymano rozwój towarzystw kremacyj-

nych, że tylko przez katolickie stowarzyszenia sportowe uratowano w znacznej części młodzież od należenia do ateistycznych stowarzyszeń sportowych i t. d. A to samo zjawisko, z pewnemi oczywiście zmianami, spotykamy w Czechach, we Francji, w Niemczech — wogóle wszędzie na świecie.

Kielecki „Przegląd Diecezjalny“ (XVI, str. 217) tak ocenia to stanowisko:

„Wywody i uwagi dra Koplera mają i dla nas wielkie znaczenie. Od szeregu lat widzimy, że organizacją katolików pod względem politycznym w Polsce prócz bardzo nielicznych jednostek, nikt się nie zajmuje, że ta sprawa wogóle wykreślona jest z programu akcji katolickiej, ze zjazdów katolickich, kursów duszpasterskich i t. p. To też katolicy pod względem politycznym są zupełnie rozbici, nie przedstawiają żadnej poważniejszej siły, a stronnictwa, opierające się na programach katolickich, nie znajdują u nas ani większego zrozumienia ani poparcia ani wyrozumienia w razie błędów, nieodłącznych od działalności ludzkiej.

Przy ostatnich wyborach do Sejmu i Senatu mimo listu arcypasterskiego naszych Najprzew. Ks. Ks. Biskupów, odczytanego ze wszystkich ambon i ogłoszonego przez wszystkie pisma katolickie, lud nasz masowo po miastach i wsiach głosował na wrogów Kościoła. Chcielibyśmy, żeby wybory wypadły dobrze; gniewamy się i ubolewamy, gdy wypadną źle; ale czy prócz odczytania listu pasterskiego robimy co, by one wypadły dobrze? Czy mamy silną, jednolitą organizację polityczną, bez której o pomyślnem przeprowadzeniu wyborów ani myśleć nie można? Czy mamy ludzi przygotowanych do tej pracy, czy mamy fundusze na ten cel? I nie ludźmy się, że mamy masy, lud cały za sobą. Jestem przekonany, że gdyby u nas wyszło rozporządzenie, kasujące naukę religii w szkołach, toby ogół społeczeństwa i nauczycielstwa przyjął to bez większego protestu, przynajmniej w bardzo wielu okolicach — tak samo bez większego protestu przyjęłoby rozdział Kościoła od państwa, zaprowadzenie rozwodów, ślubów cywilnych i t. p. A chociażby nawet były protesty — to te protesty bez silnej organizacji katolickiej politycznej niewieleby pomogły. To, co się dzieje w Meksyku — działałoby się z pewnością na Węgrzech, w Czechach, w Niemczech, w Austrii, Belgji, Holandji, gdyby katolicy

w tych krajach nie mieli silnych organizacji i stronnictw katolickich, z którymi wrogowie Kościoła muszą się poważnie liczyć. Tak, jak te kraje stworzyły i mają silne stronnictwa katolickie, tak samo i my musimy mieć silną organizację polityczną, jeżeli nie chcemy, by państwem naszym zawładnęły żywioły nam wrogie, antyreligijne. Nie powołujemy się na przykład dzisiejszych Włoch, gdzie katolicy obecnie zaniechali osobnej żywszej akcji politycznej, bo tam działa Benito Mussolini, który zrozumiał wielkie znaczenie Kościoła i który to zrozumienie potrafił wpoić w najszerze masy narodu włoskiego i wywołać entuzjazm dla Kościoła u tego narodu — my zaś takiego Mussoliniego nie mamy.

I nie mówmy, że Stolica Apostolska jest za tem, by duchowieństwo nie mieszało się do polityki. Pewnie, że nie chce ona mieć z księży zaciekrzewionych agitatorów partyjnych; pewnie, że nie chce ona, by księża w polityce uprawiali demagogję, by polityce oddawali się tacy, którym brak wysokiego poziomu etycznego, by dla polityki zaniedbywali pracę ściśle duszpasterską. Ale nie uwierzę nigdy i uwierzyć nie mogę, by Stolica Apostolska obojętnem okiem patrzyła się na to, kto będzie kierował życiem politycznem danego narodu i państwa, i by zakazywała duchowieństwu wpływać politycznie na to życie w duchu zasad nauki Chrystusa, która powinna przenikać nie tylko życie prywatne, ale i życie publiczne, a więc i polityczne“.

Wciągu dyskusji, jaka się u nas rozwinęła na temat spraw poruszonych przez X. Koplera, a powtórzonych w „Gazecie Kościelnej“ przez X. Prałata Lubelskiego, podniesiono także zarzut, że stanowisko XX. Koplera i Lubelskiego nie da się pogodzić z tem, co Ojciec św. Pius XI. uczy o bezpolitycznym charakterze Akcji Katolickiej. X. Kopler, jakby przewidział ten zarzut, taką nań dał odpowiedź, którą przetłómaczyłem dla „Gazety Kościelnej“:

Czem innem jest — powiada X. Kopler — Akcja Katolicka, a czem innem duszpasterstwo, i znowu czem innem są środki, któremi posługuje się duszpasterstwo, oraz drogi, któremi ono do swych celów zdąża. Akcja Katolicka nie jest duszpasterstwem simpliciter, ani też nie jest ona jedynym środkiem lub jedyną drogą, czy jedyną metodą duszpasterstwa; Akcja Ka-

tolicka jest tylko jednym z wielu środków i jedną z wielu dróg pracy duszpasterskiej. W aktach papieskich nigdy i nigdzie nie było powiedziane, jakoby duszpasterz miał uważać, że spełnił wszystko, czego się domaga od niego obowiązek, jeżeli zaprowadził i przeprowadza Akcję Katolicką. Dlatego bardzo łatwo być może i w rzeczywistości tak jest, że praca duszpasterska obok Akcji Katolickiej potrzebuje także innych jeszcze środków pomocniczych. Z tego powodu obok Akcji Katolickiej chrześcijańska organizacja partyjna jest i pozostanie zawsze koniecznością, i to koniecznością duszpasterską, gdyż tylko w ten sposób można zapobiec przyłączeniu się katolików do stronnictw mniej lub więcej wrogo usposobionych do religii.

Ale Papież przecież chce, żeby Akcję Katolicką przeprowadzono zupełnie apolitycznie, zdala od wszelkich zamierzeń partyjnych; Papież kładzie nacisk na to, żeby zwłaszcza duchowieństwo Akcję Katolicką oddzielało od wszelkiej polityki. Bez wątpienia, że tak jest rzeczywiście! Sed quid inde? — pyta po łacinie X. Kopler i tak odpowiada: Z tego przecież wynika tylko to jedno, że duchowieństwo, o ile kieruje Akcją Katolicką, musi przestrzegać jej charakteru apolitycznego; nie wynika z tego jednak wcale, że duchowieństwo pracujące w duszpasterstwie nie powinno starać się o utworzenie chrześcijańskiego stronnictwa tam, gdzie takie stronnictwo okaże się koniecznością duszpasterską.

Zresztą, o ile Ojciec św. kładzie nacisk na charakter apolityczny Akcji Katolickiej i chce ten charakter zabezpieczyć, o tyle także i ja położyłem nacisk na to, żeby się duszpasterz zachowywał w sposób apolityczny i nadpolityczny — tak, że to, co Papież mówi o Akcji Katolickiej, przemawia za temi zasadami, których ja bronię, a nie przeciwko nim.

W rzeczy samej, dlaczego Akcję Katolicką musi się przeprowadzać zdala od wszelkich tendencji partyjnopolitycznych? Dlatego, ponieważ Akcja Katolicka „jako współdziałanie świeckich z apostołatem hierarchji” jest w swej istocie akcją religijną, której celem budzenie wśród ludu myśli i czynu katolickiego. Stąd Akcja Katolicka musi się opierać na zgodnem współdziałaniu wszystkich katolików, którym zależy na tem, żeby w życiu

prywatnem i publicznem zachowała się myśl chrześcijańska i obyczaj chrześcijański; stąd Akcja Katolicka nie może się wznosić na tendencjach partyjnych, przeciwnie: gdzie chodzi o sprawę religji, tam korzyści partyjne trzeba zostawić na boku.

„Skoro Akcja Katolicka służyć ma wszystkim katolikom, przeto wszyscy muszą do niej przyłożyć rękę, więc nie wolno jej łączyć z celami politycznemi, żeby się nie udusiła w ciasnych ramach stronnictwa politycznego¹⁾).

Ojciec św. żąda tedy wyraźnie, żeby wszyscy katolicy zgodnie pracowali nad przeprowadzeniem Akcji Katolickiej. W tym celu chce Papież, żeby Akcja ta była apolityczna i stała poza — i ponad wszystkiemi stronnictwami. Widocznie ma tu Ojciec św. na myśli stosunki takie, że katolicy jakiegos kraju albo narodu należą do różnych stronnictw politycznych. W takich warunkach, gdyby się Akcję Katolicką związało z pewnem jakimś stronnictwem politycznem, to katolicy, należący do innej partji, zostaliby wykluczenie od współpracy, i zgodna robota katolików w Akcji Katolickiej byłaby niemożliwa. Papież, przyjmując, że katolicy danego narodu lub kraju rozbici są na różne partje, może mieć na myśli oczywiście tylko takie partje, do których katolik wogóle może należeć, czyli takie, których program i postawa ze stanowiska religijno-moralnego są bez zarzutu, albo przynajmniej temu stanowisku się nie sprzeciwiają.

Niemożliwą zaś jest rzeczą, żeby miał na myśli także stronnictwa wrogo usposobione dla religji albo uprawiające „kulturkampf“, gdyż do takich stronnictw ani żaden katolik należeć, ani też Akcja Katolicka na nich opierać się nie może. Ojciec św. życzy sobie, żeby katolicy zgodnie pracowali w Akcji Katolickiej, ale jako obywatele mogą należeć do różnych stronnictw i mogą się starać o urzeczywistnienie różnych celów politycznych. Gdyby wśród tych stronnictw mogły być rozumiane także takie, któreby w swym programie lub w praktyce miały także cele „kulturkampfu“, wówczas wynikałby ten nonsens, że Papież chce, aby katolicy w Akcji Katolickiej szli zgodnie razem,

1) X. Kopler przemawia słowami Ojca św. Piusa XI, napisanemi w liście do biskupów litewskich i w liście do kard. Bertrama (A. A. S. XX. (1928), 384). Przyp. tłum.

a jako obywatele mogli należeć do różnych stronnictw nawet wrogich religji, czyli mogli w życiu politycznem zwalczać i burzyć to, czego bronili i co budowali jako uczestnicy Akcji Katolickiej. Kto jeszcze nie postradał zdrowych zmysłów, ten przyzna, że taka myśl nie mogła powstać w głowie najzwyczajszego katolika, a cóż dopiero w głowie Najwyższego Rządcy Kościoła! Zresztą Ojciec św. w liście do ks. kardynała Bertrama powiedział najwyraźniej w świecie, że w Akcji Katolickiej „*nostri universi omnes concordēs erunt, ...nullo stirpium partiumque discrimine, modo tamen huiusmodi studia evangelicae doctrinae christianaeque legi ne repugnent, modo qui ea profitentur, hoc ipso eandem doctrinam ac legem ne abdicare videantur*“.

Z tego wynika z całą oczywistością, że Papież, gdy chce zjednoczyć katolików bez różnicy partji w Akcji Katolickiej, ma na myśli tylko tych katolików, którzy nie są kierownikami lub członkami stronnictw wrogo usposobionych do religji.

Jeżeli Papież żąda, żeby tam, gdzie katolicy są podzieleni na różne stronnictwa polityczne, Akcja Katolicka nie łączyła się z żadnem z nich, to jest to stanowisko dokładnie to samo, które ja zająłem w poprzednich swoich wywodach.

Gdzie katolicy należą do różnych stronnictw, które ze stanowiska religji trzeba nazwać poprawnemi, tam nie tylko Akcja Katolicka, ale wogóle żadna sprawa religijna nie może być łączona z żadną partją w taki sposób, jakoby tylko ta partja była partją katolicką lub chrześcijańską, inne zaś stronnictwa i ich członkowie nie zasługiwali na nazwę „katolików“ lub „chrześcijan“. Z walk politycznych, jakie toczą się między stronnictwami tego rodzaju, religję należy zupełnie wyłączyć. Ponieważ przyjmuje się, że stronnictwa takie zajmują poprawne stanowisko wobec Kościoła i jego postulatów, a tylko w sprawach czysto doczesnych i czysto politycznych kroczą rozbieżnemi drogami, przeto w oczach reszty obywateli i wyborców nie mogą się zwalczać na gruncie programu kulturalnego, t. j. na gruncie religji i jej przepisów. Gdyby zaś ktoś z takich stronnictw mimo to tak postępowało, to należałoby powiedzieć o niem, że nadużywa poprostu religji do celów politycznych. Wciąganie nawet i religji do walki bratobójczej między stronnictwami chrześcijańskimi i po-

sługiwanie się religią w takiej walce jako bronią, monopolizowanie określenia „katolicki“ lub „chrześcijański“ i odmawianie go „przeciwnikowi“, który jest taksamo katolikiem, to znaczy utożsamiać religję z partją polityczną, to znaczy partyjnictwo polityczne wprowadzać także w dziedzinę religji, to znaczy chcieć zniweczyć braterską zgodę między katolikami, to znaczy otwierać naościęz bramę całemu szeregowi najzgubniejszych następstw, jak to już powiedział Leon XIII w encyklice „Cum multa“ i co — z powołaniem się na tę encyklikę — podkreśla na nowo Pius XI.

Ponieważ w walce między sobą stronnictw, pod względem religijnym całkiem poprawnych, religja musi pozostać na boku, dlatego w poprzednich wywodach podkreśliłem zasadę, że duszpasterz tam, gdzie istnieje dwa albo więcej stronnictw o programie i praktyce pod względem religijnym poprawnej, jako duszpasterz nie może trzymać z jednym z tych stronnictw, a innych zwalczać, a nawet nie może jednego z tych stronnictw przenosić nad inne; tamże w słowach dobitnych napiętnowałem postępowanie tych księży, którzy się wdają w walkę bratobóczą między stronnictwami o kierunku chrześcijańskim i zamiast gasić ogień, jeszcze go rozdmuchują. Jeżeli duszpasterz popiera je d n o stronnictwo chrześcijańskie na niekorzyść innych taksamo „chrześcijańskich“, to jego postępowanie nietylko nie odpowiada godności duszpasterza, lecz nadto może pociągnąć za sobą jak najgorsze skutki, może wyrządzić wielkie szkody jego powadze i działalności, a nawet spowodować zubożenie pod względem religijnym tych katolików, którzy należą do innego stronnictwa, oczywiście chrześcijańskiego.

Do takiego postępowania odnoszą się w całości te słowa, któremi Pius XI w liście do biskupów litewskich uzasadnia żądanie, żeby właśnie kler oddzielał Akcję Katolicką od (czysto) politycznych tendencji: „Cum enim religiosas res populi universi is (clerus) curare debeat, prorsus eum dedecet factioni alicui studere; siquidem cavendum est, ne ministerii eius dignitas inter partium conflictus deteratur neve qui ad contrarias partes pertinent, errore fortasse decepti, a religione abalienentur“.

Akcji Katolickiej nie wolno również łączyć z partją polityczną wówczas, gdy chodzi o jej stosunek do partyj, które w swoim programie mają t. zw. „kulturkampf“. Nie

ulega wątpliwości: jeżeli Akcja Katolicka ma osiągnąć swój cel, jeżeli przez zgodne współdziałanie wszystkich katolików ma zachować narodowi wiarę i moralność albo je przywrócić, gdzie zaniknęły, to musi stworzyć zwarty szereg katolików dla obrony przed tymi, którzy chcą podkopać wiarę katolicką, czyli przedewszystkiem przed temi partjami, które się określa mianem partj wrogich religji, które w swym programie mają t. zw. „kulturkampf“; wszak te właśnie partje dziś są najzacieklejszymi i najniebezpieczniejszymi wrogami Kościoła katolickiego i ludności katolickiej i właściwemi herezjami naszej epoki. Innemi słowy: Akcja Katolicka, jeżeli chce osiągnąć swój cel, musi także stawić czoło stronnictwom wrogo usposobionym względem religji. Jednak nawet w tej walce obronnej Akcja Katolicka musi być nastawiona na kierunek czysto religijny i nie może się łączyć z żadną partją polityczną, gdyż w przeciwnym razie nikt jej nie będzie uważał za akcję religijną, lecz aż nadto łatwo będą ją mogli w oczach ludu podać w podejrzenie, że jest manewrem politycznym.

Jednakowoż choć organizacja katolików w Akcji Katolickiej jest i musi być apolityczna czy nadpolityczna, musi ona przecież koniecznie doprowadzić do tego, żeby powstała jedna lub więcej politycznych organizacyj czyli stronnictw na zasadach chrześcijańskich. Ojciec św. kilkakrotnie zaznaczył, że katolicy nie mogą się absentować od życia politycznego; — przeciwnie, oni mają ciężki obowiązek starania się także o polityczne sprawy swego kraju lub państwa. Jeżeli obowiązkowi temu chcą uczynić zadość, to muszą zstąpić na arenę polityczną, muszą brać udział w ruchu politycznym. Do stronnictwa wrogiego religji przyłączyć się im nie wolno, więc muszą należeć do stronnictwa, usposobionego życzliwie dla religji. Jeżeli takiego stronnictwa nie ma, albo jeżeli ono jeszcze nie jest zaprowadzone w danej diecezji lub parafji, w takim razie nie pozostaje nic innego, jak tylko żeby ci, którzy kierują Akcją Katolicką i do niej należą, stronnictwo takie założyli, względnie zaprowadzili.

Zupełnie tak samo praca duszpasterska i duszpasterz w wykonywaniu swego urzędu jest zupełnie apolityczny, stoi poza i ponad wszystkiemi partjami. Mocą jednak swego stanowiska musi się on stać wrogiem i to nieprzejednanym wrogiem stronnictw, które w programach swoich lub w swej praktycznej postawie mają t. zw. „kulturkampf“.

Ale wrogiem staje się on ze względów religijnych, gdyż religja, której jest przedstawicielem i którą głosi, tego się domaga od niego bezwzględnie. To jego wrogię stanowisko w odniesieniu do stronnictw antyreligijnych i antykościelnych, podyktowane względami czysto religijnymi, musi go też uczynić wrogiem politycznym, nie tylko dlatego, że on sam nie może należeć do żadnego stronnictwa antykościelnego, lecz także dlatego, że obowiązkiem jego jest powstrzymywać wszystkimi siłami katolików od należenia do jakiegokolwiek stronnictwa wrogiego Kościołowi. Środkiem do tego jest wprowadzenie także uświadomienie religijne i zakaz zapisywania się do takich stronnictw, ale ten środek nie wystarcza.

Potrzebne jest bezwarunkowo także stronnictwo polityczne, do którego by mogli należeć katolicy zgodnie z nakazami swej wiary. Albo czy może duchowieństwo żądać, żeby właśnie dobrzy katolicy nie organizowali się i nie starali się o przedstawicielstwo swoich interesów przed forum politycznym, kiedy wszyscy inni organizują się i tworzą skupienia dla pilnowania swoich spraw i zapewnienia im potrzebnego przedstawicielstwa? Powiedzmy to inaczej: Czegoś tak głupiego kler mógłby wprowadzić od katolików żądać, ale w takim razie mógłby się też doczekać, że katolicy wbrew zakazom duszpasterzy wstępowałyby do partyj politycznych. Jeżeli się im nie umożliwi należenia do organizacyj chrześcijańskich, wtedy stanie się to, co się stać musi, czyli: większość katolików, jeżeli nie wszyscy, przejdzie do obozu antykatolickiego.

Jednem słowem: względy duszpasterskie na cały głos domagają się, żeby wiernym umożliwiono należenie do chrześcijańskiej organizacji partyjnej. Jeżeli jej nie stworzą świeccy, to nie pozostaje nic innego, jak żeby ją stworzył duszpasterz. Zresztą właśnie dobrze uprawiana Akcja Katolicka szybko zdoła doprowadzić do tego, że duszpasterz nie będzie potrzebował zajmować się żadną bezpośrednią pracą polityczną, partyjną i organizacyjną. Akcja bowiem katolicka jednoczy katolików, ćwiczy w spełnianiu obowiązków religijno-moralnych w życiu prywatnem i publicznem i wychowuje katolików czynu, którzy wiedzą, jakich urządzeń w życiu politycznym domaga się ich religja. Przy pomocy takich katolików, którzy przeszli przez szkołę Akcji Katolickiej, duszpasterz wnet będzie miał taką polityczną organizację partyjną, jakiej potrzebuje dla

swej parafji, i wnet też tym katolikom będzie mógł powiedzieć całe bezpośrednie kierownictwo tą organizacją. Akcja Katolicka, choć sama jest apolityczna, przecież przygotowuje grunt i toruje drogę do dobrej, prawdziwie chrześcijańskiej polityki, wychowując katolików, którzy w życiu publicznem robią to, co im nakazuje religja.

Dlatego nie mogę wręcz pojąć, jakim sposobem z apolitycznego charakteru Akcji Katolickiej i z orzeczeń Ojca świętego miałyby wynikać cokolwiek, coby przemawiało przeciwko zasadom, przezemnie głoszonym (a przez ks. prałata Lubelskiego w „G. K.” powtórzonym. Przyp. tłum.). Przeciwnie: w tem wszystkim znajduję właśnie potwierdzenie tego, com powiedział.

Pozostaje jeszcze zawarty w konkordacie z Italią zakaz dla tamtejszego kleru przystępowania do jakiegokolwiek stronnictwa i czynnego w niem udziału. Otóż właśnie z tego zakazu nie można wcale wywnioskować zasadniczej niezgodności duszpasterstwa z działalnością partyjnopolityczną.

Po pierwsze bowiem w konkordatach nigdy nie roztrząsa się i nie rozwiązuje kwestyj zasadniczych. Konkordaty zawsze są rodzajem kompromisów, w których reguluje się stosunek Kościoła do państwa i sprawy kościelnopolityczne przez wzajemne układy i wzajemne ustępstwa, a nie secundum apicem juris; Kościół w swych żądaniach idzie tam nieraz aż do ostatnich granic ustępliwości, jaka tylko wogóle jest możliwa. Już z natury konkordatu między Kościołem a państwem okazuje się, jak niedorzecznem byłoby, gdyby ktoś w obustronnych takich układach chciał znaleźć zasadnicze rozwiązanie zagadnień z dziedziny teologii moralnej lub z prawa kanonicznego. Z konkordatów można co najwyżej wywnioskować, jak daleko Kościół może wogóle posunąć się w niektórych kwestiach, bez naruszenia prawa Bożego.

Po drugie: ów zakaz staje się odrazu zrozumiały, jeżeli zważymy, że w Italji panują osobliwe stosunki polityczne. Tam niema dziś właściwego życia partyjnego, jak w innych państwach Europy, a zwłaszcza w Austrii i Niemczech. Tam jest tylko jednak partja faszystów, a wszystkie inne organizacje partyjne są rozwiązane i przymocą pozoszone. Gdyby się więc klerowi pozwoliło na działalność partyjnopolityczną, wówczas działalność tę mógłby on rozwijać jedynie albo w obrębie faszyzmu i na rzecz faszyzmu, albo

też poza nim i przeciwko niemu. A jedno i drugie byłoby niebezpieczne i mogłoby za sobą pociągnąć najzgubniejsze skutki.

Fatalne byłoby, gdyby się kler wciągnął w szeregi faszystowskie. Faszyzm jest organizacją dyktatora i człowieka przemocy, aczkolwiek wyposażonego w wybitne przymioty; jest to więc partja, która przeciwników swoich traktuje środkami gwałtu, nawet bardzo brutalnego gwałtu. W takiej zaś organizacji niema naturalnie miejsca dla księdza, bo mógłby się także zawikłać w różne utarczki i gwałtowne zatargi. A co by się w końcu stało na wypadek ewentualnej reakcji przeciwko faszyzmowi? Wówczas cała nienawiść i zemsta takiej reakcji kierowałaby się nie tylko przeciwko księżom faszystowskim, lecz także przeciw Kościołowi. Gdyby zaś kler poza faszyzmem rozwijał działalność polityczną, mogłoby się to stać jedynie w organizacjach antyfaszystowskich, a wtedy faszyzm zaraz wydałby zarządzenia przeciwko instytucjom katolickim, przeciwko stowarzyszeniom, związkom katolickim i t. d., jak to już zresztą bywało.

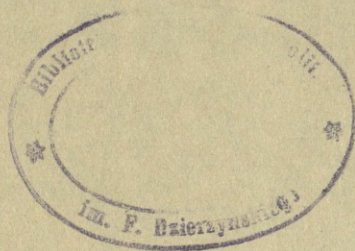
Wobec tego nietrudno zrozumieć, dlaczego Papież już przed konkordatem zakazał klerowi Italji wszelkiej działalności partyjno-politycznej i zakaz ten powtórzył w konkordacie: w danych warunkach nie mógł inaczej postąpić.

Papież zresztą mógł zakaz ten wydać tem łatwiej, że Mussolini usunął właśnie te powody, dla których kler mógłby i musiałby się wdrażać w życie polityczne. Duszpasterz, jeżeli kiedy schodzi na arenę życia partyjno-politycznego, nie czyni to nigdy i czynić nie powinien dla spraw czysto świeckich lub czysto politycznych; sprawy te do duszpasterza jako takiego — powtarzam to — nie należą zgoła. Jeżeli duszpasterz wdaje się w życie partyjno-polityczne, czyni on to jedynie i wyłącznie dla obrony interesów religji, małżeństwa, rodziny, szkoły, moralności publicznej i t. d.

Otóż rząd Italji pod kierownictwem Mussoliniego w sposób wręcz wzorowy przyrzekł obronę interesów religji, i stosunki kościelno-polityczne w porozumieniu z Papieżem uporządkował w sposób godny i życzyliwy — tak, że duchowieństwo prawie że uwolnione jest od troski o obronę tych interesów Kościoła. Gdyby nasze stronnictwa, którym się wciąż śni o „kulturkampfie“, były tak samo zgodliwe i życzliwe, gdyby i one w programach swoich i w rzeczy-

wistości stawały w obronie religii i jej interesów, małżeństwa chrześcijańskiego, szkoły, wychowania i t. d., wówczas ani jeden ksiądz nie zstępowałby na arenę polityczną. Niestety jednak nasze nadzieje w tym względzie zdają się być płonne, gdyż stronnictwa, które marzą o „kulturkampfie“, musiałyby w takim razie przestać być tem, czem są.

A troska o przyszłość? Co będzie, jeżeli rządy Mussoliniego upadną i reakcja nie uzna konkordatu? A no, na ten wypadek, który wszak nie jest wykluczony, trzeba mieć przygotowane w Akcji Katolickiej zastępy katolików czynu, którzy rozumieją swój obowiązek w życiu publicznem i wiedzą, co w chwili niebezpieczeństwa i przewrotu muszą robić jako wyborcy lub wybrani. Resztę trzeba zdać na Opatrzność.





36576 / 2